PODRÓŻE KRÓLEWICZA POLSKIEGO,

późniejszego krola Augusta III.

(Niemcy — Francya — Włochy).

1711—1717.

Z dyaryusza rękopiśmiennego wydał

Alexander Kraushar.

(Ciąg dalszy.)

9. Aug. Wyjachawszy rano z Esselbach, jachaliśmy przez lasy namienione Szpesser, cztery mile do drugiej poczty nazwanej Bessenbach na południe. Ztamtąd zaś jadąc na noc za dwie poczty do miasta Hanau mil 5 a od Frankfortu tylko mil dwie, wyjachaliśmy z lasów nazwanych Szpesser za milę od Bessenbach pod Aszaffenburkiem, miastem należącym także do Elektora Mogunckiego.[1]) Miasto samo Aszaffenburg nie wielkie i domy w nim małe staroświeckie, w pruski mur albo wiązanie. Nie ma tylko mur i fossę słabą dokoła. Ale zamek, gdzie często Elektor rezyduje, barzo piękny i regularny, z ciosanego czerwonego kamienia, (których kamieni jest tu tak wiele, że po wszystkich wsiach bramy, wrota, fensterkopy i wejścia do domów chłopskich

[1]) A zatym i z dróg złych wyjachaliśmy, bo przez te lasy niecnotliwie górzyste i kamieniste drogi.

są z tych kamieni murowane). Zamek pomieniony jest w quadrat o trzech kontignacyach z czterema wieżami albo pawilonami po rogach, które pawilony mają siedm kondygnacyi. Situacia miejsca barzo piękna nad rzeką Maenem, z jednej strony góry i lasy Szpesser widać, a z innych stron na rzekę i równiny wielkie ku miastu Hanau prospekt i na wsie murowane jak miasteczka, których od samego Erlang i Norenberka począwszy, aż do Frankfortu nie obaczy pod słomą, tylko pod dachówką i wszystkie domy murowane. Począwszy tedy od Aszaffemburga, jachaliśmy równinami i drogą dobrą mil cztery na noc do miasta Hanau nazwanego i stanęliśmy w nowym mieście pod Złotą gęsią. To miasto leży in circulo albo Palatinatu Rheni, situacya jego w równinach wielkich okolicznie i kraju obfitym, na dwoje strzelanie z dział od Maenu rzeki odległe. Jest jedno stare miasto i z zamkiem starym, w którym i zamek i domy staroświeckie, i żydzi mają w nim osobliwą swoją ulicę. Drugie Nowe miasto co Francuzi Hugonoci wygnani z Francyi przed trzydziestą circiter lat założyli, i domy w nim lubo małe, jednak porządniejsze. Fortyfikacya dokoła nowego i starego miasta dosyć porządna i obronna. Kiedy Królewic Jmć przyjeżdżał i zbliżał się do bram, trzy razy z dział bito po wszystkich rampartach dokoła miasta i garnizon stał w bramach uszykowany i przed gospodą była kompanja grenadyerów. Luhośmy zaś tego honoru nie pretendowali, ponieważ Królewic Jmć pod tytułem Graffa de Lausnitz to jest Lusatiae w tę drogę incognito wyprawiony i takie honory aux Princes Souverains należące, nie zwykły się czynić tylko tym, co jadą cognito i dają znać o przyjeździe swoim, jednakże Pan tego miasta Graff de Hanau per iura conventionum do Domu Saskiego należy także in casu sterilitatis et indeffectu prolis masculinae wszystkie dobra Graffa tego, co się Feuda Imperialia na Elektorów Saskich devolvi mają et aliunde tenże Graff Hanau imieniem Philippus Reinhardus, ma za sobą Szarlotę Wilhelminę Xżniczkę Saskę de Salfeldt; więc ten honor propriomotu uczynił Królewicowi Jmci, i skorośmy stanęli w gospodzie, przyjachał Mr. de Etelsheim, intimus Consiliarius i Obersztерleitnant Kuhorst, komendant tego miasta z komplementem imieniem swego Principała, za którą ludzkość podziękowawszy, prosiłem imieniem Królewica Jmci, aby granadyerów przed gospodą stojących sprowadzono, czterech tylko dla warty przy bagażach zostawiwszy, i oraz żeby podczas commoraciey Królewica Jmci w tym tu mieście i na wyjezdnym traktowali go jako Comitem Imperii, z dział nie strzelając. Potym Mr.

d Etelsheim przysłał wina różne i frukty do stołu Królewica Jmci i już go jako Grafa inni wszyscy tytułowali. Graffa zaś samego de Hanau poznać nie mogliśmy, bo słaby w innym miejscu o cztery mile od Hanau rezydował.

10. Aug. Wyprawiliśmy rano Mr. Morteisen kawalera do Frankfortu dla rozporządzenia quaterów, uprzątnienia i potym relaciey nam uczynienia. Jachał z nim kuchmistrz Grothe i piwniczny Papst, dla sporządzenia rzeczy do wiktu należących i do sklepu. Woleliśmy zaś tu czekać nie dojeżdżając do Frankfortu, ażeby wszystkie quartiery sporządzono, niż dojachawszy, czekać tam kilka dni w oberży albo austeriey jakiej. Po objedzie jachaliśmy konno do zamku nowego pół godziny od miasta, co teraźniejszy Graff de Hanau noviter wystawił. Ten zamek albo pałac jest na miejscu pięknym w równinie nad samą rzeką Maenem, architekturą nową postawiony, manierą francuską, bo Architekt Króla francuskiego dał abryss albo dessein. Sam pałac idzie w perspektywę, o dwóch dziedzińcach, to jest jeden dziedziniec wielki między pałacem i stajniami, a drugi mały in corpore samego pałacu, z krat żelaznych pozłocistych formowany. Sam pałac o trzech kondygnaciach, stajnie o dwóch, bo są pokoje nad stajniami. Wszystkie pokoje w pałacu dembowemi balami wewnątrz wykładane z rżnięciem pięknym na kształt galeriey jednej w Angliey w pałacu królewskim w Hamptoncourt. Mobilia jeszcze nie sporządzone. Wschody wielkie w tym pałacu z kamienia czerwonego z kratami złocistemi i malowaniem włoskim al fresco, godne są widzenia, a to mają najosobliwszego, że żadnym filarem nie są podparte według wielkości swojej, ale tylko same kamienie certa proportione et arte składane, wstrzymują się. Dach des ardoises, to jest z kamieni czarnych łupanych w łuskę układanych, jako tu w tych krajach po wszystkich kościołach, zamkach i pałacach passim zażywając, począwszy od samej Saxoniey. Ogród przy pałacu piękny i dostatni, ale jeszcze nie skończony. Ostatek dnia strawiliśmy na polowaniu, pierwej na polach między zbożem, kuropatwy i przepiórki przed legawemi psami strzelając, a potym w lesie bliskim miasta sarny, które strzelcy tuteczni wabili do rusznicy, gdzie Królewic Jmć dwie sarny zabił. Wieczorem powracając do miasta, wstępowaliśmy w tymże lesie do studni pewnej sławnej Gutten brun, to jest Fons bonus nazwanej, dlatego że woda w niej jest mineralna tak dobra i zdrowiu pożyteczna jako Egierskie wody, i tymże sposobem jej zażywają ex consilio Doktorów, jako i tamtych wód. Ma w sobie sulphur, nitrum et

martem. Studnia jest wielka, czerwonym kamieniem porządnie obwiedziona, którą za kratami na kłódki zamykają z napisem roku i czasu, kiedy jest znaleziona. Zaraz przy tej studni kamienie, jako tu do murów zwyczajnych zażywają, kopią.

11. Aug. Rano jachał Królewicz Jmć na strzelanie sarn, na insze miejsce jachał z nim Mr. Miltiz, Mr. d'Etelsheim i major od garnizonu tutecznego Mr. Hutten. Ja dla innych zabaw zostałem się w gospodzie, ale że deszcz ustawiczny tego dnia był na przeszkodzie, nie zabił tylko sarnę jedną. Po objedzie jachaliśmy półtorej mile od Hanau na pewne miejsce, gdzie królików srodze jest wiele i tak się na górze pewnej, na której pełno jest chrostu jałowcowego, rozmnożyły, że ich tysiącem rachować może, tam kilkadziesiąt ludzi i chłopców z pobliższych wsiów zganiało króliki, idąc obławą do srzodka, gdzie mają swoje ogrodzenie i jamy największe (lubo po wszystkich górkach jam pełno mają), do uciekających strzelaliśmy w biegu i zabiliśmy przez godzinę dwanaście, nie rachując postrzelonych, których nie mało do jam pouciekało. Wieczorem samym powróciliśmy się do Hanau. W tych łowach assistował Królewicowi Jmci oprócz innych wyżej wyrażonych Oberjegermejster, umyślnie od Graffa Hanau dla polowania do Królewica Jmci przysłany.

12. Aug. Rano jeździliśmy z Królewicem Jmcią w pole z rusznicami, psami legawemi i chartami, pod samym miastem, gdzie kuropatwy, bekasy, gołębie dzikie strzelały się i kilku zajęcy uszczwaliśmy. Po obiedzie jeździliśmy w lasy bliskie miasta na sarny, bez psów tylko na wabia, gdzie, że czas nie był pogodny, jedną tylko sarenkę młodą zabił Królewic Jmć. Niżeli zaś jachaliśmy w pole po objedzie, wstępowaliśmy w mieście do domu pewnego na rynku samym do mieszczanina nazwanego de Craijen, u którego jest magazyn tabaki i manufaktura, bo ją tam suszą, potym na warsztatach kręcą i prasują. Rzecz jest curiosissima widzieć tę robotę, bo u tego samego mieszczanina (nie rachując innych wielu, którzy w tym mieście tą się ekonomją bawią, i jest tego miasta największy ten handel w całych Niemczech) więcej niż trzysta osób robi nie ustając codziennie, tak meszczyzni jako białogłowy i dzieci od siedmiu, ośmiu lat. Jedni liście tabakowe suszą, drudzy wybierają i odłączają dobre od złych do przedniejszego i podlejszego tytiunu. Trzeci rozkładają liście do warsztatów tym, co kręcą, inni kręcą na warsztatach, inni kółka obracają, inni środki z listków wyjmują, bez których szrzodków tabaka

jest przedniejsza i droższa. Inni rule pokręcone składają, przerzynają i w papiery uwijają. Inni liście krają i krajany tytiun w papiery pakują. inni rule w czarnej pewnej tynkturze moczą, aby był tytiun czarny, i w prasach potężnych, których tam jest 10, prasują i w bale pakują. Warsztatów samych do kręcenia tabaki jest u tego człowieka 50, na każdym warsztacie uprzedą na dzień jeżeli grubej tabaki rulów 18 albo 20, jeżeli cienkiej to rulów 70 albo 80, zkąd łacno proporcyę uczynić, że na każdy dzień uprzedą rulów blisko 3.000, każda rula trzy funtowa. A zatym przez rok, jako sam ten kupiec czynił relacyę, wyrobi i przeda tytiunu dziesięć i dwanaście tysięcy centnarow. każdy centnar po funtów 100, a zatym rocznie przedaje za półtora kroć, albo dwa kroć sto tysięcy talerów. Prawda, że koszt wielki łoży, ale i zarobek ma słuszny i jest kupiec dostatni. Od tego kupca jachaliśmy do innego w tymże mieście domu, gdzie robią porcelany, to jest naczynia glinianne holenderskie, tak jak w Hollandiey w Delffcie i ten człowiek kilkadziesiąt ludzi zawsze konserwuje, jedni glinę (która o półtorej mili ztąd tak dobra, jak w Hollandiey, znajduje się) rozrabiają, drudzy naczynia z niej formują, trzeci naczynia wypalają, inni wypalone naczynia materyą pewną, co biały grunt czyni oblewają, insi malują czarną materyą, która potym w ogniu błękitny kolor dostaje, insi w piecach już malowane szmelcują. Inni w młynie końskim materyą do bielenia tłuką, mielą i preparują. Statki tuteczne wyrobione glinianne tak są dobre i piękne jako holenderskie i dzwonią kiedy w nie zwolna uderzy. Te dwie roboty tu są najciekawsze do widzenia. Tegoż dnia posłało się do arsenału tutecznego puszkarzom diskrecją 20 talerów od strzelania z dział na przyjezdnym, lubośmy honoru tego nie pretendowali. Granadjerom zaś od straży bagażu dało się talerów 10.

V.

Przybycie do Frankfurtu n. M. — Oddawanie i przyjmowanie wizyt. — Opis miasta. — Zjazd elektorów Rzeszy na elekcyę Cesarza i zjazd posłów od różnych dworów.

13. Aug. Wyjechawszy rano o godzinie piątej z Hanau, stanęliśmy o siódmej, to jest za dwie godziny w Frankforcie i stanęliśmy gospodą w czterech kamienicach. Królewicowi Jmci prze-

bito dwie kamienice, (z którym w tychże pokojach ja stanę też i łóżko do tegoż pokoju, gdzie Królewica wnieść kazałem), jedna kamienica Pana Hassel — a druga de Mr. Beaucon. mieszczanów tutecznych, dwie drugie gospody na Dwór rozdały się. Tylko cośmy rozporządzili stancye, przyszedł do mnie Sekretarz od Jmci Pana Kanclerza Saskiego Barona de Friese, co jest oraz pierwszym posłem od Króla Jmci. jako od Elektora Saskiego na elekcyę Cesarza przyszłego i prosił mię o naznaczenie godziny, żeby Jmć Pan Kanclerz de Friese kłaniać się mógł Królewicowi Jmci, któremu naznaczyłem od imienia Królewica Jmci. godzinę jedynastą z rana. Potym Mr. Seiwertiz Marszałek poselstwa Saskiego przyszedł i wprowadziłem go zaraz do Królewica Jmci o jedynastej (to jest o godzinie naznaczonej) przyjechał Jmci Pan Kanclerz i pierwszy poseł Saski de Friese, którego we drzwiach samych do sali przychodzącego przyjmowałem i wprowadziłem do drugiego pokoju do Królewica Jmci. Po przywitaniu i wzajemnym komplemencie, prosił Królewica Jmci. aby z nim chciał zjeść objad prywatnie i mnie do siebie z Królewicem Jm. zaprosił i Jm. Pana Miltiza, potym sam się retyrował, którego do wschodów odprowadzałem, a dalej aż do karety zleciłem odprowadzenie à Mr. Morteise Kawalerowi Królewica Jmci. O samej dwunastej przysłał Jmć Pan Kanclerz dwie swoje karety: w jednej ja z Królewicem Jmcią, w drugiej Mr. Miltiz z Panem Morteisem zajachaliśmy do jego stanciey, w tejże ulicy gdzie i my, Buchengass nazwanej. Tam zastaliśmy gości niemało i siedział u stołu na najpierwszym miejscu Królewic Jmć. przy nim po prawej ręce Jejmć Pani Kanclerzowa sama i ja przy niej. Po lewej ręce Madame Ringraff, córka naturalna przeszłego Elektora Palatini Rheni acatholici, (ta sama już w latach podeszłych panną będąc, zostaje przy starej Elektorowej Jejmci Hannowerskiej), przy niej siedział Mr. Miltiz. Sam Jmci Pan Kanclerz na miejscu gospodarskim, przy nim Mr. le Baron Hagen trzeci in ordine poseł Saski na elekcyą. Inni byli Mr. le Baron Giertz Grand Echanson Elektora Hannowerskiego a syn pierwszego posła na elekcyą tegoż Dworu. Mr. Seiwertiz. Marszałek poselstwa Saskiego, Mr. Morteise i Madame Degenfeldt, wdowa, co była za pierwszym Ministrem Electoris Palatini Rheni, siostra samej Jejmci Pani Kanclerzowej. Po obiedzie niedługo się tam bawiąc, powróciliśmy tymże jako i pierwej porządkiem do gospody. Przed wieczorem opowiedziawszy się jeszcze z rana u mnie, przyjachali na naznaczoną godzinę Mr. le Baron Hagen trzeci in ordine poseł Saski na elekcyę,

Mr. Eberstein Ablegat Króla Jmci u Dworu Elektora Moguncкiego. Mr. Plantamour Ablegat drugi u Dworu Jmci Elektora Trewireńskiego, Mr. le Comte Fantoni Ablegat Florenski i Mr. le Baron de Frise, krewny Jmci Pana Kanclerza de Frise Kawaler de l'Ambassade de Saxe; których kolejno tym jako się napisało, porządkiem wprowadzałem do przywitania Królewica Jmci. Tegoż dnia Monsigneur Albani Nepos et Nuntius Extraordinarius Ojca S-o Clementis XI. na elekcyą Cesarza, dał mi znać przez swego Prałata Mr. l'Abbé Merenda, że będąc jeszcze sam incognito et extra Civitatem mieszkając, zjachał umyślnie do pewnej kamienicy blisko stanciej Królewica Jmci, chcąc się widzieć ze mną in tertio loco. Więc płaszczem zasłoniwszy się, szedłem do niego i w kamienicy nieznacznej przywitałem się i rozmówiłem z onymże w różnych materyach, i tymże sposobem powróciłem nazad do gospody.

14. Aug. Był u mnie rano z wizytą Mr. le Baron Hagen trzeci (jako się już wyżej namieniło) poseł saski, po którego odjeździe cały poranek do południa zszedł na pisaniu, ponieważ poczta w ten dzień o samym południu odchodzi: i posłaliśmy pospołu z JPanem Milticem relacyę niemiecką Królowi Jmci o drodze i przybyciu Królewica Jmci do Frankfortu. Po objedzie dwaj Kawalerowie od Ambassady Hannowerskiej Mr. le Marquis Nomi, Włoch i Mr. Szteinberg, syn Marszalka Księcia Starego de Wolffenbustel, opowiedzieli się u mnie i o godzinie naznaczonej, wprowadzeni przezemnie do pokoju Królewica Jmci, przywitali onego. Tegoż dnia Mr. le Comte Papenheim, Marszalek Imperij był u mnie z wizytą i potym wprowadziłem onego do przywitania Królewica Jmci. Ten urząd jest dziedziczny Domu Papenheimów, jeden po drugim per majorennitatem następują. Aże Elektor Saski jest Archimarschalem Romani Imperii, więc Mareschalcus z Domu Graff Papenheim jest subalternus i jakoby Vicarius Electoris Saxoniae. On kwatery rozdaje Posłom na elekcyę, on sprawy sądzi i jurisdykcyę ma podczas takiego aktu, on gdy który Elektor wjeżdża, publicznie onego wprowadza, mając wartę halabardników przy swojej karecie i na koniu jedzie kawaler przed jego karetą z laską, jak u nas drewnianą Marszałkowską, in signum Jurisdictionis (bo sami Elektorowie luboby byli praesentes, jeden przed drugim tych nie czynią funkcyi, tylko przed samym Cesarzem przy koronaciey jego) i dla tego każdy Elektor in ordine ad functiones annexas, jako to Archimareschalci, Archi Cancellarij, Archi Camerarij etc. mają suos subalternos, którzy

tylko Cancellarij, Mareschalci, Camerarii etc. Imperij tytuły mają. Tegoż dnia Monsigneur Albani przysłał Prałata swego Mr. l'Abbé Merenda (którego wprowadziłem do Królewica Jmci) z powinszowaniem nowiny dobrej, którą tu dziś rozgłoszono, jakoby Moskwa miała znieść Tureckie wojsko nad Dunajem, położywszy 20/m. Turków na placu, i że Turcy pokój traktują cum exclusione Króla Szwedzkiego. Ale tak wielka nowina konfirmaciey potrzebuje, nim się jej da wiara zupełna. Te nowinę miał przynieść umyślny Curjer z Wiednia do Posłów od tamtego Dworu tu będących i do Xżęcia Jmci Elektora Moguńckiego, który jako i Xże Elektor Trewireński już tu zjachali przed nami, pierwszy, to jest Moguncki publicznie wjeżdżał 7. putis, in assistentia sześciuset koni swojej assistenciey, w żałobie sam i cały Dwór, a Trewirski wjechał d. 11. putis prywatnie pocztą, z trzema tylko karetami, a bagaże i Dwór cały przodem był ordynowany.

15. Aug. Rano był u mnie Mr. le Baron Wetsel, General des Postes de l'Empereur na tym tu miejscu, którego potym wprowadziłem do Królewica Jmci. Potym byli kawalerowie od ambasady Saskiej Mr. le Comte Saul, Mr. Tiscau i Mr. Wolde. Po objedzie byli u mnie Kawalerowie od Ambassady Pruskiej Mr. Fireck Marechal de l'Ambassade i Mr. le Brigadier Lubiere Francuz, co był przedtym Gouverneur de la Principauté d'Orange we Francyi, których do Królewica Jmci wprowadziłem. Tymże sposobem przywitali Królewica Jmci Ichmci PPwie Lubomirscy, młodzi synowie nieb. Jmci Pana Kasztelana Krakowskiego, Hetmana W. Koron., z których starszy jest kawalerem Malitańskim. Ostatek dnia zszedł na dispoziciey w dorabianiu liberiey dla Dworu Królewica Jmci, i w kontraktowaniu o karety dla Królewica Jmci tu w Frankforcie do wizyt służące: i zkontraktowało się z karetnikiem o jedną karetę parą końmi dla kawalerów za 50 talerów na miesiąc. A drugą karetę także parą końmi ale piękniejszą dla samego Królewica Jmci dał mi Szteinheim, Rezydent Króla Jmci w tym tu mieście zawsze będący, tą kondycyą, że kiedy sam pan Rezydent będzie potrzebował karety, tedy ma sobie najmować i pisać w rejestr, co mu się to ex Cassa Królewica Jmci nagrodzi. Tegoż dnia widzieliśmy u Pana gospodarza naszego Mr. de Hessel klejnoty różne (bo jest jubilerem), tudzież różne antiquitates z kamieni rozmaitych i galanterie z kleinotów do gabinetu godne widzenia.

16. Aug. Rano był u mnie z wizytą Mr. le Chancelier de Frise a po obiedzie był Mr. le Baron Faurstner Ablegat Xcia

Jmci Lotharyńskiego, którego potym do Królewica Jmci wprowadziłem. Tegoż dnia przyszła konfirmacya z Drezna o zniesieniu Turków przez Moskwę, którą Jmć Pan Kanclerz de Frise kommunikował Królewicowi Jmci.

17. Aug. Rano byli u mnie le Comte Giardini Ablegat Xcia Modenae, Mr. Vlm (Ulm?) Chambelan Xcia Elektora Trewirskiego, Mr. Hotten, Kawaler od Dworu Elektora Jmci Hannowerskiego, których kolejno wprowadziłem do przywitania Królewica Jmci. Po objedzie Mr. le Comte Wartemberg przeszły pierwszy Minister Króla Jmci Pruskiego, potym disgratiatus i tu teraz w Frankforcie mieszkający, kazał się w szery przynieść bez żadnego ogłosu ani opowiedzi do stanciey Królewica Jmci i wszedł prosto do sali i zabawiwszy się blisko quadrans odjachał. Po nim Mr. Fischer Conseiller Privé Xcia Margraffa de Bareith, był u mnie i Mr. Reisbach Ablegat Wirtemberski, których także wprowadziłem do Królewica Jmci. Przed wieczorem zaś byłem na konferenciey u Monseignora Albaniego.

18. Aug. Rano byli u Królewica Jmci Mr. le Colonel Miltiz, brat J. Pana Miltica w służbie Elektora Hannowerskiego zostający w regimencie Xcia Hesse Darmstata i Mr. Pinau, kawaler Saski u Madame Rojale w służbie będący. Po objedzie był u mnie Mr. le Comte de Gratz, Konsiliarz Elektora Jmci Trewirskiego, którego do Królewica Jmci wprowadziłem. Przed wieczorem przyjachali o naznaczonej godzinie Deputaci od Magistratu Mr. de Holtzenhausen Patricius le Cheff du Magistrat, Mr. Sonderhaus Sindic i Mr. Bergiet Burmistrz, których Mr. Morteisen wprowadził do sali, a ja do Królewica Jmci i tymże sposobem Mr. Morteisen onych sprowadził.

19. Aug. Rano był u Królewica Jmci Mr. Erelsheim intimus Consiliarius Graffa de Hanau, co w Hanau u nas bywał i Mr. le Baron Hagen, brat JPana Barona Hagen, trzeciego in ordine Posła Saskiego. Po obiedzie byli u mnie Mr. le Baron Bewern intimus Consiliarius Elektora Jmci Trewirskiego, i Mr. le Baron d'Or Gentil'homme de Chambre tegoż Elektora Jmci, których do Królewica Jmci wprowadziłem.

VI.

Remer Frankfurcki. — Posłuchania u Królewica.

20. Aug. Rano jachał Królewic Jmć na ratusz tuteczny, nazwany Remer, gdzie Burmistrz protunc regens przyjmował u samej karety Królewica Jmci i wprowadził nas najpierwej na salę wielką, gdzie Cesarz post Coronatione zwykł jadać z Elektorami; na tej sali po ścianach są obrazy różnych Cessarzów. Potym byliśmy w izbie, gdzie sessye swoje Electores miewają. Ta izba cała suknem czarnym obita. Baldachin wielki, to jest długi przez całą izbę, czarny sukienny nad oknami, pod którymi Electores praesentes, et absentiam primi Ministri siedzą w krzesłach także żałobą powleczonych, i ci siedzą na miejscu uno gradu podniesionym z desek, suknem czarnym usłanym. Srzodkiem izby stół długi, przy którym stoliki avec le dos, ale bez poręczów naprzeciwko krzesłom Elektorów we cztery rzędy stoją: w pierwszym rzędzie siedzą secundi Legati, w drugim tertij, w trzecim quarti, w czwartym quinti, jeżeli ich jest tyle. Co zaś pierwsi posłowie, to w rzędzie z Elektorami w krzesłach pod baldachinem siedzą. Po prawej ręce jest stolik mniejszy poprzeczny, przy którym Secretarij legationum siedzą. Po lewej ręce drugi stolik do konfitur i liquorów, jako zowią, pour des rafraichissements. Wszystkie stoły, stoliki suknem czarnym pokryte. W tej sali, jakom namienił, bywają sessye póty, aż już kiedy ad ipsam electionem przystępują, porozumiawszy się, dopiero Electores et Ministri do osobliwych izdeb retyrują się, i ubrawszy się in diademmata et ornamenta Electoria, ztamtąd jadą konno z wielką assistencyą do kościoła S-o Bartłomieja Kathedralnego i tam w kaplicy Vota swoje dają et pronuntiant Cessarza. Potym pokazowano nam sławną na cały świat Bullam Auream, sam oryginał, formowaną a Carolo Quarto Imperatore Anno 1356 d. 11. Januarij. Ta Bulla aurea jest pisana charakterem staroświeckim, jak drukiem na pargaminie in quarto i w pargamin obwiniona, sznurkami jedwabnemi przymocowana, u końca tych sznurków jest pieczęć albo metal złoty, z jednej strony osoba Caroli quarti na thronie siedzącego repraesentowana z napisem dokoła, Carolus quartus Divina favente gratia Romanorum Imperator semper Augustus et Bohemiae Rex. A na drugiej stronie brama między dwoma wieżami i w samej bramie napis Aurea Roma, do koła zaś na tej stronie jest napis, Roma

caput mundi regit Orbis fraena rotundi. Ta aurea Bulla servatur w szkatułce żółwiowej w srebro oprawnej i konkredytowana jest do schowania miastu i Magistratowi tutecznemu. Z ratusza jachał Królewic Jmć do Balhausu, to jest au jeu de Pomme. Po objedzie był u mnie Mr. Mellarede Envojé. Xcia J. Sabauskiego, którego do Królewica Jmci wprowadziłem; tymże sposobem Mr. le General de Schulemborg przywitał Królewica Jmci. Także Iehmcie PPwie Miączyński, najmłodszy syn Jmci Pana Podskarbiego Nadwornego Koronnego i JPan Opaliński, brat stryjeczny JPana Regenta Koron., powracający z Paryża do Polski i tędy przejeżdżający byli u mnie, którzy także przywitali Królewica Jmci. Tegoż dnia przyszła konfirmacya o zwycięztwie zupełnym Cara Jmci nad Turkami i powinszowania od różnych odbierał Królewic Jmć. Tegoż dnia termin do zaczęcia elekciey przypadał. Ale że posłów niektórych Elektorów jeszcze nie było i że ceremoniały względem posłów postronnych i Elektorów przytomnych jeszcze nie były ułożone, odłożono inductionem tego aktu ad 25-tum pntis, to jest nazajutrz po S-tym Bartłomieju.

21. Aug. Witali Królewica Jmci Mr. Worm, kawaler Xcia Jmci de Wolffenbutel, Mr. Alphonsleben syn Consiliarij intimi Xcia Hannowerskiego, Mr. Done kawaler drugi Xcia de Wolffenbutel i Mr. Ror kawaler od Ambasady Saskiey. Po obiedzie był także Mr. Erff, Lieutenant Generał w wojsku Cesarskim i drugi Mr. le Comte Solms de Rittelheim Generał z Pruskiego wojska, tu teraz w bliskości mieszkający.

22. Aug. Byli u Królewica Jmci dwaj młodzi Graffowie. Tegoż dnia posłaliśmy relacyę niemiecką Królowi Jmci i rachunek expensarum odbierałem od Cassiera. Tegoż dnia przed wieczorem Mr. Alphonse Cammerier Królewski, wyprawiony z pilnemi listami od Monseignora Albaniego do Króla Jmci, przez którego i ja listy pilne do Dworu posłałem.

23. Aug. Rano Mr. le Comte de Werther, drugi Poseł Króla Jmci przyjachał i przywitał Królewica Jmci. Po objedzie Mr. le Baron Giertz intimus Consiliarius i pierwszy poseł Elektora Jmci Hannowerskiego przywitał także Królewica Jmci.

24. Aug. W dzień S-o Bartłomieja byłem w Kościele Kathedralnym S-o Bartłomieja, gdzie Xże Elektor Moguncki wotywę solenną odprawował. Rano zaś posyłałem mego Sekretarza niemieckiego do JPana Graffa Schönborna, Wielkiego Marszałka Xcia Jmci Elektora Moguncskiego, prosząc o audyencyę u tegoż

Elektora i o naznaczenie godziny. Więc tenże Marszałek przysłał swego człowieka do mojej gospody, dając znać, abym zjachał na jedynastą godzinę przed południem, zaczym na godzinę naznaczoną gdym zjachał do Pałacu, wyszedł przeciwko mnie do samych wschodów Mr. le Baron Cnebel Marszałek Dworu, a w pokoju przed antykamerą przyjmował mię Mr. le Comte Schönborn, synowiec Elektora Jmci i Wielki Marszałek jego i skorom przyszedł do Antykamery, zaraz drzwi otworzono do pokoju Elektora Jmci i sam Elektor do samego progu wyszedł. — Gdym wszedł z nim do pokoju, drzwi zamknięto, że nikogo więcej w tym pokoju nie było, tylko Elektor Jmć i ja. Pokój ten, w którym dawał audyencye, czarnym suknem był obity i baldachim w nim czarny żałobny, krzesła żałobne etc., tylko lustr wielki i dwa wielkie zwierciadła, dwa stoły i gierydony srebrne w nim były. Xże Elektor gdy się zastanowił w pół pokoju, uczyniłem do niego komplement imieniem Króla Jmci, od którego miałem commissa jako i od całey Rzplitej in ordine do tej Cesarza elekciey służące. Na który komplement gdy wzajemną ludzkością odpowiedział, pytał się potym o naszych polskich rewolucyach, o circumstanciach wygranej Cara Jmci świeżo ogłoszonej nad Turkami etc., tandem o Królewica Jmci, życząc sobie okaziey prędkiej do poznania onego. Na co odpowiedziałem, że wzajemnie Królewic Jmć albo raczej Mr. le Comte Lousnic nic sobie barziej nie życzy jako kłaniać się i poznać Elektora Jmci i że się w tym poczuwać będzie, byle wiedział czas i godzinę Elektora Jmci od publicznych ile tak wielkich zabaw wolną. Potym po dyskursie więcej niż połgodzinnym, pokłoniłem się Elektorowi Jmci i wyszedłem, który mię aż do progu samego odprowadzał. W antykamerze nic się nie bawiąc, tylko podziękowawszy Jmci Panu Marszałkowi Wielkiemu za sprawioną audyencyą i pokłoniwszy się drugiemu synowcowi Elektora Jmci, to jest Graffowi Schönbornowi Proboszczowi Wirtzburskiemu, jako i innym w pokoju będącym Kawalerom i Pralatom, których wielka liczba była, wyszedłem: a tym sposobem jako przychodząc, odprowadzał mię za antykamerę le Grand Marechal, a drugi Mareschal de la Cour odprowadzał mię do wschodów i czekał aż wsiadłem do karety i odjachałam. A ponieważ tegoż poranku posyłałem i do Elektora Jmci Trewirskiego, prosząc o audyencyę przez JPana Graffa Ferrari Włocha, co jest Grand Chambellan i miałem czas przed samym południem naznaczony, więc tym sposobem, gdym był przyjęty jako u Elektora Jmci Mogunckiego i wprowadzony do Elektora Jmci, który także

do progu wychodził przeciwko mnie, po uczynionym wzajemnym komplemencie. między diskursami była wzmianka o Królowej Jmci Polskiej Eleonorze Matce Elektora Jmci, co była primo voto za królem Jmcią Michałem, a secundo voto za Xżęciem Jmcią Lotharynskim. Ojcem Elektora Jmci teraźniejszego Arcybiskupa Trewirskiego; i potym diskurs był podobny pierwszemu o Królewicu Jmci, którego ochotę do pokłonienia się Elektorowi Jmci opowiedziałem. Tandem z temi ceremonjami retyrowałem się i odjachałem. odprowadzał do wschodów Mr. Breittenbach Marechal de la Cour. Pokoje wszystkie u obudwóch Elektorów Ichmciów i dworscy i gwardye etc. w żałobę byli przybrani i w pokoju, gdziem miał audyencyą, tymże sposobem żałobny był baldachin i takież były zwierciadła, stoły i gierydony srebrne jako u Elektora Jmci Moguńckiego. Elektor Jmć Arcybiskup Moguncki jest najpierwszy in ordine między Elektorami Archi i Cancellarius Imperij z domu Comitum de Schönborn. i największe między innemi ma prorogatywy. On obwieszcza śmierć Cesarzów innym Elektorom i termin elekciey juxta ordinem bullae aurea naznacza. On propozycye czyni, a nie tylko podczas elekciey. ale in omnibus actibus Imperii praesiduje, archiwum trzyma, Vota Eligentium colligit a sam na ostatku kreskę swoją daje etc. etc. i ma wielkie inne in Imperii prorogatywy. Tegoż dnia witali Królewica Jmci dwaj Graffowie z Holsatiey Duńskiej młodzi, nazwani Berkientin, Mr. Schol pasierb Feltmarszałka Duńskiego Graffa von Reventlau. Mr. Donckelmann syn owego najpierwszego Ministra i preceptora Króla Jmci Pruskiego. potym disgraciowanego: dwaj item Kawalerowie z Śląska nazwani Zeiwisz: Mr. Geming syn intimi Consiliarij Xcia Darmstata. Tegoż dnia oddałem wizytę JPanu Graffowi de Werther, drugiemu posłowi Saskiej Ambasady.

VII.

Narady elekcyjne. — Poselstwa. — Elektorowie.

25. Aug. Ponieważ nastąpił termin ex limitatione do zaczynania konferencyi in ordine do elekciey. więc Xżęta Elektorowie obadwa i od innych Posłowie wszyscy zjeżdżali się na Ratusz (jako się go wyżej opisało) Remer nazwany, o godzinie dziesiątej z rana. Jam patrzał z Królewicem Jmcią z okna z kamienicy pewnej w rynku blisko Ratusza. Zjeżdzali się tedy ci Ministri pro-

miscue, jako się który z gospody swojej wybrał prosto na ratusz, co się w niżej opisanym porządku obaczy. Najpierwszy przyjachał le Comte de Papenheim Mareschalcus Haereditarius Imperij, (którego osobę i szarżę opisało się wyżej pod datą 14. Augusti), aby według powinności i urzędu swego przyjmował i wprowadzał na Ratusz tak Elektorów samych, jako i Posłów wszystkich.

1. Potym przyjachali Posłowie Hannowerscy, pierwszy Mr. le Baron Giertz prim. Minister tegoż Elektora, drugi Mr. Schrader. Najpierwej szło lokajów 14 po czterech w rzędzie w liberiey pomarańczowej z galonami jedwabnemi błękitnemi z białym kolorem. Za lokajami szła kareta poselska poszostna na cztery osoby, w której dwaj posłowie siedzieli w tyle jeden przy drugim. Za tą karetą szło paziów 3. Za paziami szły trzy z kawalerami de l'Ambassade karety poszostne coupez, to jest na dwie osoby. Woźnice paziowie w takiejże liberiey jako i lokaje. Przy karetach szło hajduków z węgierska pod piórami sześciu.

2. Posłowie Czescy po Hannowerskich przyjachali tym sposobem. Najpierwej szło lokajów w załobie 40. Za lokajami les Gentilshommes de l'Ambassade 40 także w żałobie, wszyscy szli parami. Za temi kawalerami szła kareta wielka poszostna, w której trzej posłowie siedzieli, najpierwszy Mr. le Comte Windisgraz, drugi Mr. le Comte Kinski Vicechancelier de Boheme, trzeci le Baron Konsbruck. Za tą karetą szła druga kareta na cztery osoby, a potym cztery inne karety na dwie osoby, w których siedzieli różni Graffowie i Baronowie znaczni ex Imperio, Posłom assistujący. Wszystkie karety żałobne, suknem czarnym obite i szory powleczone w sukno czarne w falbale i cugi wszystkie u sześciu karet, do żałoby akkomodujące się.

3. Sascy Posłowie naszego Króla Jmci jachali tym porządkiem. Lokajów najpierwej szło 24 po czterech w rzędzie, w liberiey żółtej z galonami srebrnemi z błękitnym jedwabiem. Za lokajami kareta Poselska na dwie osoby, sześcią końmi karemi barzo pięknemi, że innych wszystkich celowały i w szorach bogatych karmazynowych jedwabnych z złotem, w której karecie był Mr. le Baron Frise Kanclerz Saski pierwszy Poseł i Mr. le Comte Werther drugi poseł, za tą karetą szło paziów 6 i trębaczów 2 bogato przybranych, przy karecie hajduków 4 z węgierska pod strusiemi piórami. Za tą karetą szła druga kareta poszostna na dwie osoby, przy niej dwóch hajduczków, w której był trzeci poseł Mr. le Baron de Hagen. Za tą karetą szły drugie

dwie karety poszostne z kawalerami. Wszystkie cztery karety poszostne. Woznice w jedwabnej liberiey.

4. Posłowie Faltz Graffa, to jest Electoris Palatini Rheni jachali tym sposobem. Najpierwej szło lokajów 6 w liberjej cynamonowej z galonami jedwabnemi błękitnemi. Za lokajami szła kareta na cztery osoby, barzo piękna i osobliwą strukturą snycerską, z oknami in ovali figura, w której dwóch było Posłów, pierwszy Mr. le Baron Sibingien, drugi Mr. Micker Doctor Iuris. Za tą karetą szły trzy karety na dwie osoby poszostne z kawalerami. U wożnic barwa nie jednakowa z lokajami, ale niebieska z galonami srebrnemi a kamizole czerwone. Karet in summa cztery.

5. Przyjachał Elektor Jmć Moguncki tym porządkiem. Najpierwej szło lokajów 60 parami w żałobie. Za lokajami paziów po hiszpańsku, w płaszczykach czarnych jedwabnych 12. Za paziami kawalerów także w żałobie szło parami 60. Za kawalerami szła kareta wielka żałobna, sześcią końmi w kapach blisko do ziemi wiszących, w której sam Xże siedział: przy karecie szło 12 szwajcarów z halabardami, za karetą lokajów znowu 20. Za lokajami gwardiej szło piechotą z muszkietami 50. Za gwardyą szło innych karet wielkich żałobnych poszostnych 4 z Prałatami i pierwszemi dworu Officialistami, Ministrami etc. in summa karet poszostnych pięć.

6. Posłowie Pruscy przyjachali tym sposobem: Najpierwej szły cztery karety poszostne, trzy na dwie osoby, czwarta na cztery z kawalerami de l'Ambassade. W piątej ostatniej karecie byli posłowie, pierwszy Mr. le Comte Dona, drugi Mr. Henning: przed Poselską karetą szło lokajów 12, po trzech w rzędzie i paziów czterech w liberiej błękitnej z galonami srebrnemi z jedwabiem czerwonym. Porządek marszu tych Posłów był od innych odmienny w dwóch rzeczach. 1-o że Posłowie nie w najpierwszej karecie jako inni, ale w ostatniej jachali. 2-o że inni Posłowie choć w karetach na cztery osoby, jednak jeden przy drugim obok w tyle siedzieli, a tu le Comte Dona sam siedział w tyle, a Mr. Henning drugi poseł przed nim siedział na przodzie, nie obok z nim, co wszyscy ludzie obserwowali i uważali.

7. Elektor Jmć Trevirensis przyjeżdżał tym porządkiem. Najpierwej szło lokajów, po czterech w rzędzie, w żałobie 60. Za lokajami szli les Gentilshommes, także po czterech w czerni 30. Za niemi szły dwie wielkie karety żałobne parą końmi z Ministrami i Prałatami. Za temi dwoma karetami szło trębaczów 8.

Za trębaczami paziów szło po hiszpańsku w płaszczykach czarnych jedwabnych 12. Za paziami księży dwóch, za Xiężą kawalerów 40. Za niemi lokajów 12. za lokajami hajduków z węgierska pod piórami strusiemi 8. Za niemi dopiero kareta wielka poszostna żałobna, w której sam był Xże Elektor, przy karecie szwajcarów z halabardami 12. Za karetą znowu szło lokajów 68 i trębaczów 6 i gwardiej z muszkietami pieszo szło 50. Wszyscy w żałobie. Notandum, że Elektorowie sami byli z czarnemi żałobnemi długiemi płaszczami. Posłowie zaś od wszystkich innych Elektorów z hiszpańska byli ubrani w czerni, z płaszczykami krótkiemi jedwabnemi, z kolnierzami wielkiemi i w perukach długich. Wyjąwszy posłów Czeskich, którzy w żałobie byli grubej, według mody wiedeńskiej z płaszczami do ziemi i szorcami na kształt spodnic, w perukach także długich. Podczas tego wjazdu warta miejska albo część garnizonu stała w rynku uszykowana i za przyjazdem każdego Elektora i Posłów w bębny bito, która warta codziennie, kiedy się na konferencye zjeżdzają Electores, stać musi przed Ratuszem i póty stoją uszykowani, póki trwa sessya, a oprócz tego gwardye Elektorów, jednego z jednej strony, drugiego z drugiej strony stoją uszykowane przy drzwiach ratusza, póki trwa sessya.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wzajemne stosunki Polski, Litwy i Zakonu

w latach 1399—1404.

Studyum historyczne.

I.

Po klęsce nad Worsklą.

Klęska Witolda w dn. 12. sierpnia 1399 r. była wielką i zupełną; kronikarz nowogrodzki, nieprzychylny Kiejstutowicowi, uważa ją jako karę boską za dumę księcia.[1]) Witold cofnął się zaraz po walce z niedobitkami wstecz ku Litwie i tu mógł oczekiwać i spodziewać się dalszych katastrof. Ale ze strony Timur-Kutłuka nie spotkało go nic więcej: Tatarzy ograniczyli się tylko do wzięcia bogatego okupu z Kijowa i Ławry peczerskiej i przelotnego spustoszenia pobliskich okolic. Wprawdzie jeden z ruskich latopisów — hipatiowski — opowiada, że „Tatare pobiadiwszi christian, poidosza w ruskuju zemlu, plenjajuszcze ognem i mieczem Wołyń i Litwu“,[2]) a nowogrodzki dodaje, że w Kijowie

---

[1]) Połn. sobr. rusk. latop. t. III. p. 101:

„Тако бо Богъ навелъ поганыхъ Татаръ на землю Литовскую за высокоумie князя ихъ...“

[2]) Ibidem, t. II. p. 532.

„namiestniki swoi posadisza“.[1]) — Witold jednak rychło ochłonął z przerażenia.

Co się tyczy powyższych wiadomości, to mamy je, jak widzimy, od dwóch latopisów: hipatiowskiego i nowogrodzkiego. A że hipatiowski jest latopisem lokalnie kijowskim i najwcześniejszym po tzw. Nestorze lub latopisie mnicha Wawrzyńca, bo powstał z końcem XIV. lub początkiem XV. w.,[2]) on tedy może mieć najpewniejsze w tym względzie wiadomości w przeciwieństwie do nowogrodzkiego, zbyt odległego od Kijowa i Witoldowi niechętnego: dlatego też najprawdziwszą wydaje się nam wiadomość hipatiowskiego latopisa tj. że Tatarzy ograniczyli się do wzięcia okupu i spustoszenia sąsiednich okolic. (Wołyń, Łuck).[3])

Jeżeli klęska nad rzeką Worsklą była wielką sama przez się, jako klęska, o czem świadczy choćby śmierć kilkudziesięciu bojarów i książąt poległych w tej bitwie, to była jeszcze większą pod względem politycznym, przez okoliczności zaszłe właśnie świeżo w Polsce.

17. lipca zgasła królowa Jadwiga. Opowiada Długosz,[4]) że zrozpaczony król chciał rzucić koronę polską i wrócić na Litwę. Nie uważał się bowiem za właściwego monarchę polskiego, tylko

---

[1]) Ibid. III. p. 101.

[2]) Bestużew-Rjumin: „Russkaja istoria“ t. I. str. 20.

[3]) Zresztą i inne latopisy podobnie opowiadają. Np. woskreseński (Połn. Sobr. t. VIII.), wcale obfity w wiadomości o tej bitwie, opowiada (str. 73): „І пойде царь Темирь-Кутлуй къ Кіеви и взя съ него окупъ 3.000 рублевъ Литовскимъ сребромъ, а силу свою всю распусти воевати земли Литовскіе; и ходиша рати Татарскіе воюючи даже до Великаго Луцкаго, и много городовъ поплениша и много странъ повоеваша и много зло створивъ Темирь-Кутлуй земли Литовской и отъиде въ землю свою.“

Wreszcie Nikonowski latopis (t. II. p. 174), który, jak sądzimy po przeczytaniu jego ustępu o bitwie nad Worsklą, opiera się na hipatiowskim i woskreseńskim, choć w opisie bitwy ma szczegóły obce tamtym, mówi prawie dosłownie to samo, co woskreseński o okupie z Kijowa i spustoszeniu Wołynia (Łuck). Wszystkie wiedzą o ucieczce Witolda z małą garstką, ale nie o „posadzeniu namiestników“ tatarskich w Kijowie. Hipatiowska kronika i podobno część nowogrodzkiej są współczesne mniej więcej tym wypadkom a ze wszystkich, poza t. zw. Nestorem najwcześniejsze. Nikonowska zaś, jak mówi jej wydawca, powstała dopiero w w. XVII., woskreseńska wcześniej; hipatiowska jest lokalnie kijowską.

[4]) T. III. p. 537.

o tyle i przez to, że był mężem królowej Jadwigi, właściwej dziedziczki i królowej państwa polskiego. Że ten przekaz naszego historyka nie jest tylko legendą, świadczyć może list Konrada Jungingena, w październiku 1399 r. pisany do komtura wiedeńskiego Michała.[1]) Pisze w nim W. mistrz, że gdy Jagiełło chciał Polskę opuszczać po śmierci królowej, panowie polscy nie pragnący wcale rozerwania unii, zaczęli go prosić i zatrzymywać, perswadując, że śmierć królowej nie przeszkadza bynajmniej dalszemu jego królowaniu, zwłaszcza gdy oni, panowie, tego sobie życzą i radzili, by poszedł za wskazówką i radą, daną mu na śmiertelnem łożu przez małżonkę tj. poślubił drugą, najbliższą spadkobierczynię polskiej korony, wnukę po córce Kazimierza Wielkiego, Annę hr. cylejską. Opowiadanie to zgadza się zupełnie z opowieścią Długosza, czyli więc ta ostatnia jest prawdziwą i nie podlega żadnej wątpliwości. Dlatego też sądzimy, że słusznem jest twierdzenie prof. Piekosińskiego, że Jagiełło był tylko „królem-małżonkiem", że jego stanowisko prawne jako króla było oparte na ślubie z córą Andegawenów, której śmierć i Krzyżacy opłakali uroczystem nabożeństwem żałobnem[2]) — dopiero teraz przez fakt zatrzymania go, zmieniło się.[3])

Wobec takiego stanowiska Jagiełły w Polsce jako króla, mógł Witold śmiało oczekiwać jego powrotu na Litwę, a temsamem utraty swojego dotychczasowego stanowiska na Litwie, wytworzonego siłą faktów przez siebie od ugody ostrowskiej. A że ono już było zachwiane klęską nad Worsklą, że mógł się spodziewać dalszej zemsty Timur-Kutłuka, więc musiałby Jagielle ustąpić stolca wielko-książęcego i spaść do rzędu dzielnicowych książąt. Jagiełło bowiem był zawsze jeszcze „magnus dux Lithuaniae" i miał do niej niewątpliwe i lepsze od Witolda prawa. To więc, że ta klęska zeszła się ze śmiercią królowej, że stanowisko Witolda na Litwie, a równocześnie Jagiełły w Polsce było w niepewności, w zawieszeniu, podnosi ją istotnie do ogromnych rozmiarów i słusznie uważana jest przez historyków za punkt zwrotny w dziejach Witolda, nie tylko dlatego, że przez nią runęły

---

[1]) Voigt, Codex Prussicus, t. VI. nr. 87

[2]) Voigt, Geschichte Preussens, t. VI. p. 170. — „Tressler-Buch" p. 9 w uwadze Voigta.

[3]) Piekosiński, „Czy król Władysław Jagiełło..." (Rozpr. Akad. Umiej. t. 35).

śmiałe, fantastyczne niemal projekta o podbiciu całego dalekiego Wschodu, o shołdowaniu Moskwy.[1]) Przyjęte to bowiem powszechnie zdanie, że klęska nad Worsklą sprowadziła stanowczą zmianę w polityce Witolda, zbliżyła go do Polski na długo, bo aż do koronacyjnej burzy w 1429 r.; wprawdzie te groźne ewentualności, których Kiejstutowic mógł się lękać, jak powrót Jagiełły na Litwę i zemsta hana tatarskiego na szerszą skalę, nie nastąpiły i Witold mógł się utrwalić na Litwie, to jednak zbliżenie się jego do Polski stało się faktem i jest najważniejszym skutkiem rozbicia się planów wschodnich Witolda nad Worsklą. Przez ten fakt zbliżenia się do Polski, przez to, że stanowi punkt zwrotny w polityce Witolda, jest klęska nad Worsklą wypadkiem pierwszorzędnej wagi.

Za dowód tego tj. tej zmiany, tego zbliżenia się do Polski, a zarazem prędkiego odzyskania równowagi po klęsce, m o ż n a b y uważać odpowiedź Konrada Jungingena, datowaną 24. sierpnia 1399 r. na propozycyę zjazdu Jagiełły z W. mistrzem w sprawie dobrzyńskiej. Pisze tu Mistrz, że książę musi pierwej wrócić na Litwę z Krakowa, a kiedy to nastąpi tego on wiedzieć przecież nie może; że dalej pora zimowa nie wydaje mu się odpowiednią dla zjazdu, raczej na wiosnę to odłożyć należałoby, że wreszcie sam cel zjazdu, sprawa dobrzyńska jest jego zdaniem niedostatecznym i za błahym powodem, lęka się więc, by zjazd nie spełzł na niczem: gdy książę wróci, na czas będzie o tem pomyśleć.[2])

Krótki ten list pozwala postawić szereg przypuszczeń. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że rzeczą pierwszorzędnej wagi dla nas byłoby posiadać nietylko odpowiedź Jungingena, ale także sam list Witolda z propozycyą zjazdu, czyli innemi słowy wiedzieć, kiedy i zkąd pisał go Witold, a mianowicie czy przed, czy po klęsce: przez to bowiem zmienia się zasadniczo tendencya Witolda. Niestety nie posiadamy go — ztąd ta forma „możnaby“, bo domysłami, hipotezą musimy się ratować i w niepewny sposób interpretować odpowiedź mistrza.

Chodzi więc najpierw o bliższe określenie terminu pobytu Witolda w Krakowie. List krzyżacki nie mówi nic bliższego, jedynie tyle, że poseł Witolda Pietrasz oświadczył, iż książę wyjechał do Krakowa („geretęn woret“): z Długosza też niewiele

[1]) Bestużew-Rjumin: „Russkaja istoria“, t. II. p. 39.
[2]) Prochaska, Codex Vitoldi, Nr. 201.

więcej dowiedzieć się możemy, tembardziej, że popełnia nawet bałamuctwo.[1]) ale jako rzecz prawdopodobną możemy przyjąć na podstawie tych dwóch źródeł, że do Krakowa wyjechał po klęsce. zwłaszcza, że trudno mu było jechać w czasie przygotowań do walki, o których opowiada Długosz jako trwających przez czerwiec i lipiec[2]) i pewnego naprężenia w stosunku do Polski, ani też tembardziej podczas wojny. Zresztą opowiadanie Długosza wygląda tak, że Witold w Krakowie znalazł się po klęsce.

Jeżeli więc przyjmiemy, że do Krakowa wyjechał po bitwie nad Worsklą, to należałoby także przyjąć jako rzecz prawdopodobną, że owego Pietrasza wysłał z listem do Malborga przed swoim wyjazdem do Polski tj. także po bitwie. A wobec tego możemy się zgodzić, że niebezpieczeństwo ze strony hana, o czem zresztą i latopisy ruskie piszą, musiało minąć szybko, skoro mógł myśleć o opuszczeniu Litwy; dalej, że szybko odzyskał równowagę ducha po swojej katastrofie, skoro zajmuje się sprawą obojętną ostatecznie dla Litwy tj. sporem dobrzyńskim. A ta właśnie okoliczność, zajęcie się sprawą dobrzyńską, dowodzi chęci zbliżenia się do Polski, ściślejszych z nią związków, tembardziej, że Polska w tej właśnie chwili nie ma innej ważniejszej sprawy. A i to także, że jedzie do Krakowa, do Jagiełły, stwierdza ową dążność do zbliżenia się. Ale trafność tych wszystkich wniosków zależy

[1]) Długosz (Historia III. p. 527) mówi o klęsce worskleńskiej, że wypadła ona na „quarta decima Augusti die, feria videlicet tertia post festum beati Laurentii“; jest to błąd chronologiczny, bo „feria tertia“ czyli wtorek wypadał wtedy na 12, a nie 14 sierpnia. Nieco dalej (p. 537) pisze tak: „Tristi nuntio Wladislaus, Poloniae rex de morte consortis suae Hedvigis reginae accepto, gemens Cracoviam advenit et diebus aliquot in luctu et moerore absumptis accersitis praelatis et baronibus regni funerias regio apparatu illi in Cracoviensi ecclesia, quarta decima Augusti celebravit. Juste quoque funeri persolvens, in terras Russiae, quibus longo tempore immoratus est (Jaśko z Tęczyna, kasztelan krakowski, był wtedy zastępcą, namiestnikiem króla w Koronie: Castrensia Biecensia t. 24. p. 732—734 w archiwum krajowem w Krakowie), ex Cracovia abiit. Venerat etiam sub eadem tempestate in Cracoviam Withawdus Alexander, dux Lithuaniae, cum ducissa Anna, consorte sua prima, Hedvigim, Poloniae reginam, in puerperio visitaturi et insignibus honoraturi numeribus. Sed solutis funeri iustis exequiis, ocyus in Lithuaniam rediere.“

W „Rachunkach dworu“ („Rationes curiae“ Piekosiński) jest luka na rok 1399.

[2]) Historia, III. p. 527 (lib. X.).

od tego, kiedy Witold wysłał ów list i kiedy wyjechał do Krakowa, a tego niestety sprawdzić nie możemy.

Co na Witolda wpłynęło w tej mierze, czy oprócz klęski. oczywiście jeżeli się to stało po bitwie, działały jakie inne jeszcze wpływy i powody, nie umiemy odpowiedzieć. bo źródła nie dają nam w tym względzie żadnej wskazówki: poruszymy to zresztą później. Fakt jednak zbliżenia się i chęć ujęcia w swe ręce sprawy dobrzyńskiej są niewątpliwe. bo dowodzą tego późniejsze wypadki i zmiana stosunku Witolda do Polski. są powszechnie przyjęte jako skutek klęski. Jest to faktem bez względu nawet na to, czy ów list omawiany do mistrza był wysłany jeszcze przed katastrofą. Bo z drugiej strony i takie przypuszczenie można postawić i udowodnić nawet, tj. że list ów wyprawił przed bitwą, a wtedy propozycya zjazdu nie będzie skutkiem klęski i stwierdzeniem zbliżenia się, ale celem jej będzie pozyskać Polskę dla swoich planów, otrzymać od niej pomoc.

A teraz wnioski po za tem. Że Jungingen odrzuca propozycyą i co charakterystyczne; odrzuca dlatego. iż się lęka. by zjazd złożony tylko w sprawie dobrzyńskiej. nie spełzł bezowocnie. to dowód. że stosunki między Witoldem a Krzyżakami od traktatu salińskiego nie uległy jeszcze zmianie i przyjaźń między nimi trwa dalej. Naturalnie dowodzi tego nie odrzucenie propozycyi, ale ton listu. a przedewszystkiem intytulacya. Gdy bowiem porównamy korespondencyą między Zakonem a Witoldem w czasach. gdy żyją ze sobą w przyjaźni. z czasami, gdy przeciwne panują stosunki. to znajdziemy w intytulacyi ogromną różnicę: w pierwszym mianowicie wypadku czytamy: *„irluchter furste und grosmechtigen besunder libir herre“*, w drugim: *„irluchte forste und herre“*;[1]) a w czasach średniowiecznych intytulacya była rzeczą wielkiej wagi. A zjawisko to powtarza się tak regularnie, że nie czytając nawet listu i nie znając stosunków danej chwili, możemy wnioskować z wielkiem prawdopodobieństwem, jakie stosunki łączyły ich w danej chwili. Powtóre — odrzucenie owego projektu dowodzi także. że Krzyżacy wcale nie mieli ochoty do prędkiego zakończenia sporu dobrzyńskiego, czyli że cała przyjaźń względem królowej Jadwigi i zapewnienia mistrza, iż całem sercem pragnąłby, aby ten spór wyrównał się jak najprędzej. były nieszczere, fałszywe. Bo czemużby w takim razie odrzucał propo-

[1]) Porówn. choćby „Codex Vitoldi“.

zycyę, a raczej, co ciekawsze, odkładał ją na później — do powrotu Witolda? Widocznie szybki koniec sprawy dobrzyńskiej nie leżał w interesie Krzyżaków. Możnaby tu także podejrzywać W. mistrza o ukrytą tendencyę, domyślać się, że W. mistrz pragnął Witolda odciągnąć od tej sprawy, wypróbować go, jak się zachowa wobec Krzyżaków teraz po swojej klęsce.

W każdym razie sądzimy, że ten list W. mistrza można uważać za dowód, iż 1. niebezpieczeństwo dla Witolda minęło szybko ze strony Tatarów — kronikarze ruscy opowiadają, że Timur-Kutluk wprost z pola bitwy ruszył na Kijów: — 2. klęska nad Worsklą zbliżyła Witolda do Polski; — 3. że trwają dalej przyjazne stosunki między Witoldem a Krzyżakami, wytworzone traktatem salińskim, zawartym bardzo uroczyście w październiku 1398 r. na wyspie niemeńskiej Sallin zwanej, w obecności Witolda, W. mistrza, dostojników krzyżackich i bojarów litewskich. Było to zawarcie ścisłej przyjaźni i przymierza, z obowiązkiem obopólnej pomocy i odstąpieniem Żmudzi Krzyżakom w czasie wspaniałej, trzydniowej uczty.[1])

---

[1]) Ob. opis zjazdu u Possilgego (Script. rerum Prussicarum t. III.), a dokument przymierza Raczyński „Codex Lithuaniae" p. 253, preliminarz przymierza „Codex Vitoldi" nr. 179.

Owa odpowiedź W. mistrza na propozycyę zjazdu uważamy za jedną z ciekawszych i ważniejszych z tych czasów, a zarazem za jedną z zagadek, której nie można interpretować na pewno z powodu niedostatecznych wiadomości źródłowych — zwracam też na nią uwagę. Być może, że nasz sąd, nasza interpretacya nie jest trafną, bo ten list można na dwa sposoby tłómaczyć tj. że Witold był w Krakowie przed bitwą lub po. Prawda, że czas między 12. a 24. sierpnia (choć tę drugą datę posiada list, jako że w tym dniu był dopiero pisany, a parę dni upłynąć musiało, nim go Witold mógł otrzymać, czyli, że mamy tu więcej czasu, aniżeli 12 dni, bo książę równocześnie z wysłaniem Pietrasza mógł i sam wyjechać) jest na to wszystko za krótki i że Witold był w Krakowie jeszcze przed klęską, chcąc odwiedzić chorą królowę i przypodobać się panom polskim, zjednać ich dla swych dalekich planów, czy też zamydlić oczy krakowskiemu dworowi w swoich właściwych dążeniach. Wprawdzie Długosz mówi, że przybył do Krakowa po klęsce i śmierci królowej (o czem nie wiedział), ale między treścią listu tj. że wyjeżdża do Krakowa, a rzeczywistem przybyciem mogły zajść jakieś nieprzewidziane przeszkody i nagłe, z powodu których przybył już później, a list w każdym razie wysyłał przez Pietrasza przed klęską; i wyrażenie odpowiedzi mistrza, że już wyjechał („gereten woret"), w ten sam sposób można objaśnić. Trudno już pogodzić to, że Długosz każe Witoldowi bawić przez czerwiec i lipiec

A teraz małe objaśnienie czy przypomnienie — o sprawie dobrzyńskiej, co to była za sprawa? Poświeciliśmy jej osobną rozprawkę, tu wypadnie nam ją tylko streścić w najogólniejszych zarysach.[1])

Władysław ks. opolski, ulubieniec króla Ludwika węgierskiego, otrzymał od niego w r. 1378, jako od króla polskiego, ziemię dobrzyńską, część Kujaw, ziemię wieluńską i ostrzeszowską tytułem lenna. Po śmierci Ludwika panowie polscy nie lubiący Władysława opolskiego, niejednokrotnie okazywali mu swą niechęć, a gdy później jeszcze popadł w zatargi z Jagiełłą, zerwał zupełnie z Polską i zaprzysiągł jej zemstę. Wszedł więc w bardzo przyjazne stosunki z Zakonem krzyżackim i w r. 1391 zastawił mu naprzód ważny pograniczny zamek Złotoryą, a w roku następnym całą ziemię dobrzyńską. To wywołało spór. Jagiełło wypowiedział Opolczykowi wojnę, która w r. 1396 skończyła się zupełną katastrofą księcia, bo utratą nawet dziedzicznego Opola, poczem zwrócił się do Krzyżaków, domagając się zwrotu zastawionej ziemi. Przez pierwsze trzy lata prowadziła rokowania w tej sprawie król. Jadwiga, spodziewając się, że ona, córka Ludwika, nadawcy tej ziemi Opolczykowi, potrafi do pomyślnego doprowadzić ją sukcesu i uzyskać wydanie ziemi. W. mistrz zapewniał gorąco o najlepszych chęciach, ale zastawu nie wydał, zasłaniając się Opolczykiem, od którego ją otrzymał i bez zezwolenia którego wydać jej nie może. Mimo usilnych i kilkakrotnych starań, królowa nie uzyskała nic i odumarła tę sprawę w zawieszeniu. Teraz, jak widzimy, próbuje Witold wziąć ją w swoje ręce. W rozprawie owej staraliśmy się wykazać i udowodnić, że ziemia dobrzyńska była tylko lennem Opolczyka, a nie jego posiadłością zupełną i że jego suzerenem z tej właśnie ziemi był król polski, ztąd też dalej wykazaliśmy, że zastaw tej ziemi dokonany bez wiedzy i woli suzerena był bezprawnym wedle zasad prawa feu-

---

w Kijowie; czynić przygotowania do wojny, a właśnie w lipcu zachorowała królowa. Dość, że tej kwestyi nie podobna na pewno rozstrzygnąć, ale jakkolwiek było, to zasadnicze i ostateczne nasze wnioski tj. o zbliżeniu się do Polski, nie podlegają żadnej wątpliwości, bo mamy na to zkądinąd dowody. Problematycznym może być tylko wniosek, że to właśnie klęska kazała Witoldowi zająć się sprawą dobrzyńską i wysyłać Pietrasza z projektem zjazdu.

[1]) „Sprawa zastawu ziemi dobrzyńskiej i pierwsze lata sporu" (w „Przeglądzie historycznym" warszawskim, r. 1903).

dalnego, był ich łamaniem przez Opolczyka i że bezprawnem także w myśl tego prawa było przyjęcie zastawu przez W. mistrza. Kładziemy nacisk na powyższe słowa tj. na bezprawność zastawu i jego przyjęcia przez Krzyżaków, bo na tej podstawie będziemy mogli ocenić należycie zjazd raciąski, który kończy ten spór o Dobrzyń. Równocześnie jednak podnieść trzeba, że co innego jest oceniać przyjęcie zastawu wyłącznie ze strony prawnej, co innego tłómaczyć go ze strony dyplomatycznej: nam chodzi przedewszystkiem o tę pierwszą, prawną, gdy omawiać będziemy zjazd raciąski i z tej strony zastaw i przyjęcie go potępiamy i za niesłuszne, bezprawne uznajemy.

Cały przeciąg czasu od bitwy nad Worsklą aż do zawarcia unii wileńskiej w 1401 r. między Witoldem a Zakonem trwa przyjaźń; naodwrót między Koroną a Krzyżakami są stosunki zrazu naprężone właśnie z powodu owej sprawy dobrzyńskiej, dotąd nierozstrzygniętej, później dopiero następuje zbliżenie. Między Litwą zaś a Koroną stosunki są takie same, jak między Witoldem a Zakonem. Czyli innemi słowy Kiejstutowic żyje w dobrych stosunkach i z Polską i z Krzyżakami i korzystając zapewne z tego, a zarazem by wzmocnić swój wpływ w Polsce, próbuje być rozjemcą między spierającymi się. Oto ogólna charakterystyka stosunków w tych latach. Przypatrzmy się im bliżej.

Że między Koroną a Krzyżakami stosunki były nieprzyjazne, wyraźne mamy na to świadectwa. Już ta okoliczność, że Jungingen w liście do landkomtura wiedeńskiego Michała, przedstawiając mu stan Polski po śmierci królowej Jadwigi, zatrzymanie Jagiełły na tronie przez panów polskich, podaje mu równocześnie rady, jak ma postępować ks. Wilhelm rakuski, by odzyskać swoje „dziedzictwo“ tj. koronę polską i usunąć tego, *„der sich eynen Konig nennet czu Polan“* czyli Jagiełłę, a mianowicie zanieść skargę na Jagiełłę przed forum papieskie, że mu wydarł panowanie, także i przed innych monarchów Europy, postarać się, by małżeństwo króla polskiego z Anną cylejską nie doszło do skutku, a tę mu doradzają i panowie polscy teraz i przedtem król. Jadwiga, jako najbliższą spadkobierczynię korony polskiej, a wreszcie upewnić się co do Zygmunta luksemb., u którego niewątpliwie będzie szukał Jagiełło poparcia i pomocy, zwłaszcza wobec

klęski Witolda[1]) — już ten list powtarzamy świadczy dobitnie, jak ciągle nieprzyjaznymi byli Krzyżacy dla Jagiełły. Wspomnieć należy, że po śmierci królowej Wilhelm rakuski znowu począł zabiegi o tron polski i pisał o radę do Krzyżaków w tej sprawie[2]) i na ten to list odpowiada W. mistrz.

Drugą okolicznością, świadczącą o nieprzyjaznych stosunkach tych dwóch państw, jest sprawa glejtu, jakiego w listopadzie żądał Jagiełło, by swobodnie polować nad granicami państwa zakonnego. Konrad Jungingen ubolewa wprawdzie, że król ma tak mało zaufania do niego, ale dopiero na powtórną prośbę przysłał takowy, żądając również i dla posłów swoich listu żelaznego.[3]) Sprawa o ten list bezpieczeństwa miała miejsce w listopadzie 1399 r. i Witold był w niej pośrednikiem. — Wreszcie w styczniu 1400 r. wynikły jakieś lokalne, graniczne zatargi w Kujawach i ziemi dobrzyńskiej, mianowicie grabież krescencyi we wsi polskiej i powieszenie przez komtura z Nieszawy poddanego polskiego. Jagiełło robił o to Krzyżakom wyrzuty, a ci znowu usprawiedliwiali się przed Witoldem i jego o pośrednictwo prosili.[4]) Wszystko to dowodzi niezbyt przyjaznych stosunków.

Ale niedługo widzieć się daje zmiana: Jagiełło zbliża się zwolna do Zakonu. 10. stycznia 1400 r. wysyła z Wilna król oświadczenie swej przyjaźni do W. mistrza i chęć pogodzenia się z nim, wyrównania wszystkich sporów,[5]) a równocześnie posyła zwierzynę i bogate podarki.[6]) Widzimy z tego, że król bawi na Litwie; widocznie już w listopadzie przygotowywał się do wyjazdu, a więc wkrótce po śmierci królowej i wizycie Witolda w Krakowie — ów glejt od Krzyżaków świadczy o tem wyraźnie. Jak wiadomo pora zimowa sprzyja łowom myśliwskim, a Jagiełło był zapalonym myśliwcem; posłanie mistrzowi zwierzyny stwierdza, że król na Litwie bawił już dłużej i łowów używał. Ale o to wszystko mniejsza, tembardziej, że król zawsze w zimie wyjeżdżał na Litwę. Jest tu ważniejsza rzecz. List ów z oświadczeniem

---

[1]) List po 4. paźdz. 1399 Voigt, Codex nr. 87 (tu pisze także mistrz, że odebrał od ks. Wilhelma list z prośbą o rady względem tronu polskiego i niniejszem ich udziela).

[2]) Voigt, Codex VI. nr. 86 (list do ks. Wilhelma).

[3]) Prochaska, Codex Vitoldi, nr. 205—206.

[4]) Ibidem, nr. 211—212.

[5]) Voigt, Codex VI. nr. 92.

[6]) Ibidem, nr. 93.

przyjaźni mistrzowi i chęci pogodzenia się z nim, datowany jest z Wilna i to właśnie daje nam silną podstawę do przypuszczenia, że na tę zmianę usposobienia króla wpłynął przedewszystkiem Witold i że jego to dziełem było zbliżenie się Jagiełły do mistrza i że król pierwszy (a nie mistrz) ten krok robi. Dlaczego Kiejstutowic przedłużał swoje przyjazne stosunki z Krzyżakami, zobaczymy niżej, ale dlaczego Jagielle namawiał do przyjaźni z nimi (jeśli się tak wolno wyrazić) — nie wiemy. Czy to była jaka ukryta polityka i wyrachowanie, czy tylko po prostu dlatego, że sam zostawał w przyjaźni z nimi — trudno osądzić. Ale jedno przypuszczenie postawić można. Że swoich śmiałych planów wschodnich, walki z hordą tatarską, mimo klęski nad Worsklą, nie wyrzekł się Witold wcale, przynajmniej na razie, widzimy to z dwóch odpowiedzi Jungingena, jednej z 7. listopada 1399 r., drugiej pod koniec stycznia 1400 r.: w pierwszej pisze mistrz z prośbą, by mu Witold doniósł, jak stoją sprawy z Tatarami, gdyż dopiero po najbliższej Wielkanocy będzie mógł dać mu stanowczą w tej sprawie odpowiedź [1]) w drugiej, że cieszy się z mającego przybyć poselstwa nowego carzyka tatarskiego i zaręcza, że o ile tylko będzie mógł, spieszyć będzie zawsze Witoldowi z radą. [2]) Niewątpliwie chodzi tu o orężną pomoc Krzyżaków w nowej walce z Hordą, do której byli obowiązani traktatem salińskim z 1398 r. Dlatego to zapewne Witold okazywał dalej Zakonowi przyjaźń, służył jako pośrednik między nim i Jagiełłą i inne jeszcze, jak zobaczymy, wyświadczał usługi. Chciał więc utrzymać nadal, po klęsce, przyjaźń z Zakonem, a zarazem w podobny sposób pozyskać i Jagiełłę. Drogą do tego miała być sprawa dobrzyńska. Jakoż dwukrotnie (26. stycznia i 27. lutego 1400 r.) wznawia tę sprawę, ale bezskutecznie, bo Zakon żądał tak jak dawniej zezwolenia Opolczyka i zwrotu sumy zastawnej.[3]) A drogę w tej sprawie miałby Witold bardzo ułatwioną, gdyby i Jagiełło do Zakonu się zbliżył; pomyślne zaś załatwienie tej sprawy, zjednałoby mu bardzo serca Jagiełły i panów polskich i usposobiło przychylnie dla jego polityki wschodniej. Taka jest nasza interpretacya oświadczenia się Jagiełły z przyjaźnią dla Krzyżaków.

---

[1]) Codex Vitoldi, nr. 206.
[2]) Ibidem, nr. 214.
[3]) Codex Vitoldi, nr. 215 i 224.

Zakon nie pozostał też dłużnym i niezwłocznie podobną odpłacił monetą. [1]) Nastąpiło więc pewne zbliżenie się Jagiełły do W. mistrza: odtąd też kilkakrotnie słyszymy o projektach osobistych zjazdów i poddaniu wzajemnych sporów pod sąd rozjemczy. złożony z pełnomocników spierających się państw. [2]) Wystąpiła wprawdzie nowa jeszcze trudność. mianowicie pogłoska. jakoby Zakon chciał zabierać posiadłości biskupa kujawskiego. leżące w granicach państwa krzyżackiego, ale w maju usprawiedliwił się W. mistrz i pogłosce zaprzeczył. [3]) Że sporną kwestyą między Koroną a Zakonem na teraz w pierwszym rzędzie nie było nic innego, jak tylko sprawa dobrzyńska. to nie ulega najmniejszej wątpliwości, bo była to sprawa najbardziej paląca i dotąd jeszcze całkiem otwarta. Rzecz inna. czy te projekty zjazdów i sądów przedewszystkiem dla tej sprawy układanych, przestały być tylko projektami i rzeczywiście przyszły do skutku. Źródła nasze milczą o tem zupełnie: ale zważywszy, że jeszcze w dn. 8. stycznia 1401 r. czytamy odpowiedź W. mistrza do Jagiełły, że zostawia do jego woli wybór miejsca dla zjazdu wzajemnych pełnomocników. prosząc tylko o zawiadomienie o decyzyi [4]) (a to zaledwo na 10 dni przed unią wileńską), zważywszy, że ta odpowiedź jest taką samą, jak dwie poprzednie i ma wyraźny charakter projektu. możemy przyjąć śmiało. że w r. 1400 zjazdu nie było żadnego i projekta zostały projektami. W każdym razie widoczna jest pewna zmiana tonu. Przypuszczać można, że Jagiełło zbliżając się do W. mistrza zapewne pod wpływem Witolda. czynił to przedewszystkiem dla dokończenia sprawy dobrzyńskiej i ją miał na myśli. O ile więc o nią chodzi. to musimy skonstatować. że aż do unii wileńskiej nie posunęła się ona ani o krok naprzód. Jest to więc stan przejściowy, niepewny: ze strony Jagiełły próba dokonana mojem zdaniem pod wpływem Witolda i dzięki jemu. Że Jagiełło zbliżając się, zamierzał jednak ten stan lepszych stosunków utrzymać dłużej i że z jego strony nie była to wyłącznie gra polityczna i jakiś chwilowy nastrój, zobaczymy później: tam także będziemy mieli podstawę do poparcia naszego wniosku. że

[1]) Voigt, Codex, VI. nr. 93.

[2]) Codex Vitoldi nr. 226; Voigt Codex VI. nr. 102; Cod. Vitol. nr. 232 (dałem tu porządek chronologiczny listów tj. z 8. czerwca, 27. grudnia 1400 i 8. stycznia 1401 r.).

[3]) Codex Vitoldi nr. 223. 225.

[4]) Codex Vitoldi nr. 232.

zbliżenie to było dziełem Witolda, by pozyskać dla swoich planów wschodnich i przychylnie względem nich usposobić oba państwa. Jeżeli się na to wszystko zgodzimy, to musimy przyznać, że jeżeli kiedy, to teraz właśnie, w r. 1400, Jagiełło i polityka polska była pod wpływem przemożnym Witolda, on nią kierował. — To jedna część.

Jaki był stosunek Witolda do Korony, mówiliśmy poprzednio. Pozostaje więc tylko przypomnieć, że wyświadcza Jagielle cały szereg usług, jak z owym listem żelaznym lub sprawą dobrzyńską: jest tedy pośrednikiem między Koroną a Zakonem i doprowadza wreszcie do jakiego takiego porozumienia. Że ze sprawą dobrzyńską nie udało się teraz ani jemu, ani Jagielle, jak poprzednio królowej Jadwidze — to rzecz inna; a dlaczego? Brak podstaw do domysłów. I na to także trudno odpowiedzieć z całą stanowczością, czy w tej sprawie i Witold i Krzyżacy działali szczerze i z dobrą wiarą. Że jednak te usługi zapisywały Witolda dobrze w opinii Jagiełły i Polaków — to niewątpliwe. Wyświadczał je, by zjednać Polskę dla swych planów, a podnieść się godzi, że z chwilą zawarcia unii wileńskiej, znikają i te plany wschodnie i równocześnie zmienia się zasadniczo stosunek Witolda do Zakonu. Zobaczymy to później. Narazie niech nam wystarcza fakt, że stosunek między Jagiełłą a Witoldem jest wcale serdeczny i przyjazny i przypuszczenie, że Kiejstutowic wpływał silnie na politykę Polski i jej wobec Krzyżaków stanowisko. To część druga.

Pozostaje nam stosunek Witolda do Krzyżaków.

Jaki on był — wiemy już z poprzednich słów. Ale nie ograniczał się on tylko na pośredniczeniu między Zakonem a Polską. Jeżeli tej ostatniej wyświadcza przysługi, wyświadczał je także i to wcale poważne Krzyżakom. Najważniejszą jest tu sprawa Żmudzi.

Jak wiadomo Witold zawierając uroczysty pokój i przymierze ścisłe na ostrowie salińskim w październiku 1398 r. — a który to pokój trwa dotąd nieprzerwanie — odstąpił Zakonowi Żmudź i zobowiązał się nietylko nie przeszkadzać, ale owszem dopomagać Krzyżakom w zawojowaniu tej ziemi i wybudowaniu dwóch lub trzech granicznych twierdz. [1])

[1]) Codex Vitoldi nr. 179, 187—188 i Raczyński, Codex Lithuaniae p. 251—259 (akt traktatu salińskiego w transsumpcie z 1404 r.).

Teraz posuwa się Kiejstutowic dalej. Źródła nasze tak dyplomatyczne, jak kroniki, opowiadają zgodnie o wyprawie krzyżackiej na Żmudź w r. 1400. Kronikarze pruscy, a zwłaszcza bogaty w szczegóły Possilge,[1]) nie oznaczają czasu bliższego tej krzyżackiej „rejzy", ale materyał dyplomatyczny pozwala nam uzupełnić ten brak. W liście datowanym 26. stycznia z Malborga usprawiedliwia się Konrad Jungingen przed Witoldem, że nie wysłał do niego posłów w sprawie dobrzyńskiej, ale że urzędnicy zakonni wyruszyli na Żmudź.[2]) W innym liście, który dr. Prochaska z powodu braku daty oznacza na czas „pod koniec stycznia", donosi W. mistrz Witoldowi o zamierzonej dopiero wyprawie na Żmudź, opowiada o przybyciu licznych z zagranicy „krzyżowców"; o chorobie ks. Geldryi, wreszcie dziękuje księciu za jego gotowość uczestniczenia osobiście w tej wyprawie.[3]) Z tego wynika, że ten list jest wcześniejszy od poprzedniego z 26. stycznia 1400 r., bo tutaj słyszymy dopiero o projektowanej wyprawie, a tam (tj. w liście „pod koniec stycznia"), że wojska krzyżackie już wyruszyły; powtóre, że Witold pragnie osobiście na Żmudź się wyprawić, a do tego nie był wcale traktatem salińskim obowiązany, była to jego dla Zakonu przysługa. W dn. 18. lutego przesyła Jungingen księciu podziękowanie serdeczne i gratulacye z powodu jego powodzenia orężnego na Żmudzi, zapewniając o swojej wdzięczności,[4]) a w 4 dni później donosi królowi Wacławowi czeskiemu o pomyślnej wyprawie krzyżackiej na Żmudzinów.[5]) Wobec tego wszystkiego omawiana „rejza" odbyła się w pierwszej połowie lutego i w tej wyprawie dopomagał Kiejstutowic Krzyżakom i skarbił sobie ich przyjaźń.

Z korespondencyi między mistrzem a Witoldem widoczna, że ten ostatni zwierzał się Krzyżakom ze swoich zamysłów i o wszystkiem im donosił. I tak wiedzą Krzyżacy, że Kiejstutowic snuje jakieś plany przeciw Tatarom;[6]) do Malborga ucieka się książę po radę, gdy któryś z jego „szwagrów" doznał krzywdy

---

[1]) Scriptores rerum Prussicarum, t. III. p. 235—237.

[2]) Codex Vitoldi nr. 215.

[3]) Ibidem nr. 214.

[4]) Ibidem nr. 220.

[5]) Voigt Codex VI. nr. 96.

[6]) Codex Vitoldi nr. 206, 214.

jakiejś:[1]) wiedzą dalej o wysłaniu przez Witolda poselstwa do wojewody mołdawskiego:[2]) Wszystko to świadczy o nader przyjaznych i ścisłych stosunkach. Na podstawie naszego materyału źródłowego nie możemy bliżej określić, jakie to zamiary snuł Witold względem Tatarów lub co miało na celu wysłanie poselstwa do hospodara, że jednak jakieś plany miał, to możemy przyjąć za fakt; dlatego też zapewne przedłużał przymierze z Krzyżakami, dlatego Polsce wyświadczał usługi.

Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że Jagiełło zbliżył się do Zakonu z powodu sprawy dobrzyńskiej: ona była przyczyną, że bądź to sam, bądź też za sprawą Witolda szukał porozumienia: Witold działał zaś tutaj pod wpływem owych nieznanych nam dokładniej i jaśniej zamysłów. Później, po zawarciu unii wileńskiej, drogi tych dwóch braci stryjecznych rozejdą się: cele więc ich były różne i jeżeli nawet król zbliżał się do Krzyżaków pod wpływem Witolda, jeżeli on był tutaj kierownikiem, inicyatorem, to król zależny od niego w takim razie początkowo, potem działa samodzielnie i własnym kieruje się rozumem. Mam tu na myśli (co do tej początkowej zależności) fakt oświadczenia się przez Jagiełłę z przyjaźnią dla Zakonu w dn. 10. stycznia 1400 r. i późniejsze w tymże roku projekty zjazdów osobistych.

A Zakon? Ten wyzyskując przychylność obydwóch, szukał naturalnie korzyści dla siebie. Wobec Polski zwlekał z zakończeniem sprawy ziemi dobrzyńskiej, bo Witoldowi odpowiedział, że musi mieć pełnomocnictwo od Opolczyka, gdyż od niego wziął ją w zastaw.[3]) A więc po staremu, jak przed królową Jadwigą zasłania się księciem. Do Witolda znowu wysyła 27. maja komtura Ragnety z prośbą, by dopomógł im w wybudowaniu zamku nad Niewiażą.[4]) Prawda, że Witold zobowiązał się w traktacie salin-

---

[1]) Ibidem nr. 208. Z listu tego niepodobna odgadnąć, o jakim tu szwagrze mowa, bo W. mistrz (on pisze ten list) mówi tylko tyle „widder dris die euwern svoger sint widder faren". Wydawca (dr. Prochaska) domyśla się tutaj ks. twerskiego Michała lub syna jego Iwana, który pojął córkę Witolda za żonę; co prawda nie byłby w takim razie szwagrem, tylko zięciem: p. Kochanowski („Witold, w. książę" p. 111) przyjmując domysł dr. Prochaski, idzie dalej i przypuszcza, że Witold dążył tu do odzyskania i przywrócenia zachwianego klęską worskleńską swego wpływu i stanowiska na Rusi.

[2]) Ibidem, nr. 214.

[3]) Codex Vitoldi, nr. 214, 222.

[4]) Ibidem, nr. 224.

skim do pomocy tego rodzaju. Twierdza ta miała być dla Zakonu podstawą do zawojowania Żmudzi, dać punkt operacyjny do działań. Po owej wyprawie lutowej, dzięki powodzeniu oręża teutońskiego i pomocy Witolda, musieli Żmudzini w r. 1400 i 1401 upokorzyć się, przysłać licznych zakładników i dzieci; schylali jednak chętnie dosyć swe karki pod chrzest św. i poddaństwo Zakonu, a W. mistrz ustanowił osobnego urzędnika, wójta dla tej ziemi. [1])

Ostatnim wreszcie i to publicznym manifestem przyjaźni Witolda i Zakonu, a ze strony tego ostatniego, było wspaniałe przyjęcie ks. Anny, żony Witolda, gdy w lipcu 1400 r. zjechała do Prus w licznym orszaku, celem zwiedzenia miejsc świętych. [2])

Takie były stosunki tych trzech państw w przededniu unii wileńskiej, ale które żadnych pozytywnych nie sprowadziły rezultatów. Była to gra dyplomatyczna ze strony Witolda, tak sądzę wobec tego, co po unii nastąpiło — początek żywszych zabiegów ze strony Jagiełły. Sprawa dobrzyńska otwarta jeszcze ciągle; teraz, po unii, nastąpi druga o Żmudź. Nie widać tu, w tych stosunkach żadnej energii, żadnego wyraźniejszego akcentu: stan jakiś niewyraźny, niepewny, bez pozytywnych skutków. Zmianę i ruch sprowadzi dopiero unia wileńska i z tego przetworzenia się stosunków dyplomatycznych wyłoni się zjazd raciąski, który przynajmniej sprawę dobrzyńską rozwiąże. Stan między bitwą nad Worsklą, a unią wileńską, uważać możemy przeto za przejściowy. Nie bez wagi jest tu fakt, jaki zaszedł 20. sierpnia 1400 r. w Oberlahnstein. Wtedy bowiem sejm Rzeszy detronizował króla Wacława, przychylnego, jak wiemy, unii polsko-litewskiej i Jagielle od czasu sporu krzyżackiego z biskupem dorpackim o arcybiskupi tron w Rydze. Elektorom rzymsko-niemieckiego państwa bardzo nie podobał się ten związek i przyjaźń Wacława dla Jagiełły i między punktami oskarżenia, które miało uzasadniać detronizacyę, nie pominięto i tego. [3]) Następnego dnia, 21. sierpnia,

---

[1]) Possilge, l. c. p. 237 i 240.

[2]) Ibidem, p. 238 i „Tressler-Buch“ w „Codex Vitoldi“ Appendix nr. 3, p. 961—963.

[3]) Deutsche Reichstagsacten t. III. p. 272—275.

Art. 6. (oskarżenia): „Item so sturet er (videl. Wacław) den Konig von Krakau — we widder den deutschen Orden und hat sich zu eine virbunden; und ist derselbe Konig von Krackaw mer heiden, dan cristen“ (p. 274).

wybrano następcą Wacława, Ruprechta z Palatynatu, obojętnego względem Polski, albo raczej nieprzychylnego, bo z dokumentów Ruprechta, wystawionych Zakonowi, a zatwierdzających wszystkie ich przywileje, widoczna jest wyraźnie życzliwość dla Krzyżaków,[1]) cieszących się, jak wiadomo, wielkim mirem i popularnością w Niemczech. Detronizacya Wacława i obiór Ruprechta nie ma wprawdzie dla naszej sprawy pierwszorzędnej wagi, ale nie jest zupełnie bez znaczenia, bo przyjaźń Ruprechta dawała Krzyżakom silne oparcie wobec sporów z Polską i Litwą.

Dr. Maryan Goyski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Art. 7. (z innego oskarżenia): „Item quod univit et confoederavit (Wacław) se cum rege Poloniae, qui se cum paganis habuit contra dominos Theutonicos in Prussia magis quam cum christianis“ (p. 275).

Są to rzeczy bardzo ciekawe i charakterystyczne jako dowód opinii zachodniej Europy o Polsce i polsko-litewskiej unii, a którą to opinię zawdzięczamy nie komu innemu, jak tylko Krzyżakom.

[1]) Voigt Codex. t. V. (Regesten, dwa z r. 1402 i 1403).

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

BISKUP KRAKOWSKI

(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Ciąg dalszy)

Zachęcał tedy Hozyusza, gdy tenże chciał przybyć w misyi apostolskiej do Wilna, ufając, że powiedzie mu się ona przy pomocy rzekomo mężnego biskupa, aby raczej przypomniał mu tylko podobnie jak innym biskupom zwykłe obowiązki pasterskie, a nie narażał swojej osoby.[1]) Spostrzeżenia Rotundusa były trafne. Sam Protaszewicz nie widział w sobie zdolnego i szczęśliwego szermierza w walce z herezyą. Napominany przez Hozyusza tłómaczył się najlepszemi chęciami, przyrzekał, że walczyć z nią nie przestanie, dopokąd żyć będzie, cieszył się nadzieją przyjazdu Hozyusza, ale na widok przeważających sił przeciwników upadał na duchu, nie wróżył Kościołowi i sobie wygranej, całą ufność pokładał jedynie w pomocy Bożej.[2]) Tymczasem zamiast wyciągać

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1862, 1868.

[2]) Hos. Ep. nr. 1868, list jego z 3. listopada 1557.

bezradnie i lękliwie ręce do nieba, trzeba było raczej w sobie samym szukać otuchy i sił do odpierania ciosów, które spadały wówczas na Kościół ze strony jego nieprzyjaciół, prowadzonych do boju śmiałą a potężną prawicą przyjaciela królewskiego, księcia Radziwiłła.

Z początkiem b. r. donosił Hozyuszowi Jan Pikarski, który niedawno przybył z królem do Wilna w charakterze kaznodziei nadwornego,[1]) że mieszkańcy tego miasta zarażeni są okropnie błędami, że mało jest między nimi, i to tylko ludzi z niskiego stanu, takich, którzy jeszcze wyznają obrządek katolicki, że wielu należy już do obozu przeciwnego i z dniem każdym wzrasta ich liczba i zuchwałość — a król temu pobłaża. Donosił dalej, że żyje tu w Wilnie jak owca między wilkami, że napominał króla dość surowo, aby im nie folgował, król miał mu dać jakieś przyrzeczenia, ale ich nie dotrzymał, bo zdaje się, że sam do ich obozu należy. Spostrzeżenia te porobił właśnie podczas pobytu w Wilnie Jana Łaskiego.[2]) W połowie zaś b. r., po wyjeździe tego reformatora ze stolicy królewskiej, takie przesłał Hozyuszowi uwagi o panujących w niej stosunkach religijnych: „Po wyjeździe Łaskiego z Wilna nie brak takich, którzy publicznie głoszą kazania, stawiają ołtarz przeciw ołtarzowi, katedrę przeciw katedrze. W tym samym czasie, kiedy odbywają się nabożeństwa i kazania w katedrze, odprawiają również ci nowatorzy swoje nabożeństwa i dają kazania już to u wojewody — scl. Radziwiłła — już to u innych, już to wreszcie po domach mieszczańskich, robią to

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1722, list Karnkowskiego do Hozyusza z 8. marca 1557: Dnus Pikarski, contionator Regius, qui in praedicando verbo Dei egregie se geritet cum summa gratia et admiratione omnium hactenus auditus est, se in gratiam Ptis V. R. valde commendari cupit: hunc R. D. Vicecancellarius in domum suam accepit et eo familiarissime utitur; nos quoque familiares et domestici R. D. Vicecancelarii ipsius consvetudine in hoc exilio mirifice recreamur Deumque optimum precamur, ut det illi successum in evertendo regno Satanae. Natomiast Bonawentura Tomasz podał o nim mniej pochlebnie i życzliwie: hunc vehementem aiunt esse in movendis affectibus, ac in doctrina tepidum (słaby), illum vero nemo non catholicus vere fatetur catholicum, v. Hos. Ep. nr. 1777, s. 838.

[2]) Hos. Ep. nr. 1740, list jego z 9. kwietnia 1557, odpowiedź Hozyusza: Hos. Ep. nr. 1755, z 6. maja t. r.: quod ista civitas errorum plena est, doles vehementer, utinam inveniri posset ratio, qua possent errores isti propolsari...

bezkarnie i bez przeszkody tak, że na naszych kazaniach, które dajemy w kościele, mało bywa obecnych, z panów nie ma nikogo, z pospólstwa niewielu...“ [1]) Przyczynę takiego stanu rzeczy widział w niedbalstwie tych, którzy Kościołem kierują. Sami bowiem, zdaniem jego, z wyjątkiem niewielu, sprawy Kościoła lekceważą a zajmują się swoimi osobistymi interesami, ci zaś, którzyby coś zdziałać chcieli, nie mają takiego znaczenia, aby biednemu Kościołowi pomódz zdołali. W królu, pisał w powyższym liście, mała nadzieja; chociaż zawsze obiecuje Kościołowi służyć, ale sam niezmiernie mu szkodzi, bo pozwala tym nowatorom rabować świątynie pańskie, wypędzać z nich kapłanów katolickich a wprowadzać do nich heretyckich, co więcej obcuje z nimi, zaszczyca ich najwyższymi honorami,[2]) od naszych zaś stroni a nawet ich nie nawidzi. Naszych przy dworze jest mało, a ci, co są, nie troszczą się o religię, chociaż, gdyby chcieli być prawymi synami Kościoła, wieleby zdziałać mogli. W innym liście, w październiku do Hozyusza wysłanym, donosił pełen smutku, że nie tylko Litwini, ale nawet Rusini przestają być chrześcianami: „I oni bowiem ulegli błędom, które z dniem każdym rosną, porzucają więc wiarę ojców, a lgną do nowych obrzędów, my zaś albo tego nie widzimy, albo na to przez palce patrzymy — a raczej zezwalamy. Albowiem ów chorąży heretyków, wojewoda wileński, zaszczyca i poleca J. Kr. Mości tylko takich, w których odkrył wrogów i bluźnierców dawnej religii.“ [3]) Tak samo niejednokrotnie skarżył się na nieznośny stan rzeczy Bonawentura Tomasz, kaznodzieja królowej Katarzyny,[4]) również dr. Łuk. Aquilinus, kaznodzieja krakowski, przybyły w maju t. r. ponownie w misyi apostolskiej do Wilna.[5]) Ten ostatni pisał dnia 5. grudnia t. r. do

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1780, list jego z 14. czerwca 1557.

[2]) W Post-Scriptum objaśnił to wiadomością: Syndicus Gedanensis (Jerzy Klefelt) apud nos in summo est habitus honore, nawet podkanclerzy często go zaprasza do siebie i okazałej go przyjmuje, niż się godzi, pierwsze mu daje miejsce przy stole, zaszczyty najwyższe mu się oddaje, a co najgłówniejsza, wyznaczony w poselstwie do króla duńskiego i t. d.

[3]) Hos. Ep. nr. 1847, list jego z 7. października 1557. Także Hos. Ep. nr. 1873, list jego z 4. listopada t. r.: religionis status hic est, qui et ita pridem fuit, in dies crescunt errores, noster Princeps etsi videt, connivet tamen; si monetur, indigne fert.

[4]) Hos. Ep. nr. 1733, 1777.

[5]) Hos. Ep. nr. 1777, 1778.

Hozyusza: „Zgoła nic się tu nie dzieje, coby mogło ludziom dobrej woli dodać otuchy, cześć Boga ostyga, ginie sprawiedliwość, pobożność zanika, natomiast podnosi czoło satanizm; lękam się niezmiernie, by nam władzy nie porwał, zwęszyłem bowiem niejedno, o czem teraz jeszcze sądzić nie mogę, czy jest prawdą, aż kiedyś czas prawdę wyjaśni.“ [1]) Te same spostrzeżenia porobił w Wilnie tegoż roku kanclerz Jan Ocieski. Donosił Hozyuszowi, że mógłby bardzo wiele pisać o tem, na co tu patrzał podczas niedługiego swego pobytu: wszyscy wróżą takiemu stanowi rzeczy jak najgorszy koniec, bo dobrowolnie idziemy w przepaść: zdaje się, jakoby Bóg zagniewany na nas, pozbawił nas rozumu i rozsądku, karząc nas za grzechy nasze a zwłaszcza za to, że dawną religię haniebnie opuściliśmy i porzucili. [2]) Zapewniał go, że sam wpływał usilnie na króla, ażeby na seryo przeciw nowatorom wystąpił, ażeby władzę swoją i powagę salwował, ale zupełnie bezskutecznie, bo wpływ jego unicestwiał ten, którego rady i pomocy w takich razach gorliwie zasięga [3]) — to jest Radziwiłł. Również podkanclerzy Jan Przerębski, przebywający stale w Wilnie przy królu, lękał się nieustannie pomsty Bożej za to, co oglądał tam codziennie własnemi oczyma. [4]) Dziwił się nawet, że król zakończył zwycięzko wojnę inflancką, że wojna ta niewiele szkody przyniosła religii, a twierdził, że gorsze od wojny to owe „*practicae domesticae*“, których owocem opustoszałe świątynie pańskie: wszyscy bowiem idą nie za głosem religii, tylko za powagą tego, który w niej więcej tu znaczy, niż wszyscy biskupi, [5]) niż polscy i pruscy senatorowie! Wiedział Hozyusz o tej powadze Radziwiłła aż nadto dobrze, znał ją z własnego doświadczenia. Niejednokrotnie krzyżował wojewoda jego plany, bruździł mu na dworze królewskim w sprawach dotyczących jego dyecezyi. Z ironią i z gniewem nazywał go księciem Litwy, królem jej, panującym w niej w zastępstwie Zygmunta Augusta. [6]) Powtarzał to, co

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1890.

[2]) Hos. Ep. nr. 1782, list z Wilna, dn. 17. czerwca 1557.

[3]) Hos. Ep. nr. 1869, list z Wilna, dn. 3. listopada 1557.

[4]) Hos. Ep. nr. 1842, list z Wilna, dn. 5. października 1557.

[5]) Hos. Ep. nr. 1872, 1907 (qui plus potest quam omnes et Poloni et Pruteni consiliarii tak pisał P. o Radziwille, żaląc się, że dzięki niemu król toleruje ekscesa i reformy religijne, dokonane w Gdańsku).

[6]) Hos. Ep. nr. 1718, s. 792.

mówił o nim nuncyusz Lippomanno, o czem wiedział z relacyi nuncyusza Paweł IV. Właśnie w tym czasie czynił ten papież królowi ostre wyrzuty za poufałą z nim zażyłość. Uważał ją za zbrodnię przeciw wierze, za publiczne zgorszenie. Wszak wojewoda zdaniem jego to nie tylko heretyk, ale heretyków obrońca i wódz, a przecież zaszczyca go król wszelkimi honorami: on jest kanclerzem w. l., on jest wojewodą, on najzaufańszym towarzyszem i spólnikiem pracy, niemal spólnikiem Królestwa, drugim królem polskim! [1]) Dlatego to w marcu b. r. nakłaniał Hozyusz Protaszewicza, aby głównie Radziwiłła wpływ starał się podkopać, głównie z nim walkę dla dobra Kościoła rozpoczął — ale nakłaniał napróżno. Protaszewicz tej walki się lękał. [2]) Aliści nie tylko tchórzył przed wojewodą, nie tylko nie umiał sobie zjednać króla, bo nawet nie umiał panować nad samym sobą i nad swojem duchowieństwem. Folgował sam sobie i patrzył przez palce na postępowanie duchownych. Kler wileński miał dawać w tym czasie z siebie jak najgorszy przykład. Pikarski oburzał się na to, że duchowni tak mało odczuwali opłakany stan Kościoła: „chociaż widzieli te burze, które w nim szalały, te krzyki słyszeli, które wówczas na stan kościelny się podnosiły, przecież nie odmieniali swego nagannego życia, dzień za dniem spędzali w zbytkach i rozpuście, pili, biesiadowali, dalecy od trosk o Kościół, o stan swój i o złe czasy.“ [3])

Tak samo opieszali byli inni biskupi, nadto Uchański lub Drohojowski zdawna podejrzani o herezyę. Jedyny Hozyusz, niezmordowany w spełnianiu swoich obowiązków pasterskich, stał wyżej moralnie od naszego Zebrzydowskiego. Tem więcej podziwienia i naśladowania godny, że dbał nie tylko o swoją dyecezyę, chociaż w tych ciężkich dla Kościoła czasach i z braku rzetelnej pomocy ze strony króla nie z większem powodzeniem jak inni, ale nadto interesował się sprawami całego Kościoła polskiego, trzymał w swym ręku niejako ster jego. Obyśmy więcej takich biskupów mieli, wołał pełen wiary w niego, dr. Augustyn Rotundus. Ale rozważając ówczesne czasy „fatalne“, lękał się zarazem, czy on jeden im oprzeć się zdoła. Zdaniem jego za wielu i u sie-

[1]) Ossoliński, Wiadomości hist. kryt. T. III. Cz. 2. przyp. 47, s. 83. Solą w oku był ten Radziwiłł Rzymowi. List Pawła IV. bez wyraźnej daty u Raynalda T. XXI. Pars. II. pag. 152.

[2]) Hos. Ep. nr. 1773.

[3]) Hos. Ep. nr. 1780.

bie i w świecie narobił sobie Hozyusz wrogów swojem pisaniem i radami.[1]) Także Pikarski, pełen podziwu dla niego, pisał do niego: „Zaiste, o ile wiem, ze wszystkich biskupów jedynie Wasza Wielebność dotychczas nie obcował z heretykami, bo nawet codziennie pismami swojemi usiłuje miażdżyć ich przewódców.“ [2]) Hozyusz istotnie pisał wówczas wiele. Główną pracą, która niebawem miała wyjść z druku, było dzieło jego o zasadach Brencyusza, bronionych przez Wergeryusza, pisane w tym czasie i podziwiane przez teologów.[3]) Zachwycony niem Rotundus powziął zamiar przełożyć je na język polski, chcąc jak mówił dostarczyć Polakom zdrowej i dobrej lektury w miejsce tej, którą czerpali na szkodę swoją z licznych książek, rozsiewanych po Polsce przez wrogów Kościoła [4]) W tym roku drukował Hozyusz nowe wydanie Konfesyi i pragnął widzieć ją w przekładzie niemieckim i polskim, mając zamiar prosić o przekład polski biskupów koronnych.[5]) Prowadził też rozległą korespondencye z wszystkiemi wybitniejszemi osobistościami w kraju, w listach swych poruszał mnóstwo bieżących spraw i wypadków, karcił króla i dwór jego, karcił biskupów i nawoływał do pracy, do poprawy i do reformy. Solą w oku była dla dysydentów ta gorliwość jego, kpili z niej

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1862. Tak samo pisał 31. maja b. r. z Płocka (Hos. Ep. nr. 77) o Hozyuszu Paweł, opat płocki: Utinam tales Episcopos hac nostra in provincia habuissemus atque nunc etiam haberemus, qualem hunc unum — virum plane sanctum — Rigensis habet. (Warmijska dyecezya miała należeć do arcybiskupstwa ryzkiego). Fides catholica nosque omnes tantis in periculis non versaremur.

[2]) Hos. Ep. nr. 1780.

[3]) Hos. Ep. nr. 1756, przyp. 4. Mowa o dziele: Propugnatio una cum confutatione prolegomenorum, quae primum I. Brentius adversus Petrum a Soto teologum scripsit, deinde vero Petrus P. Vergerius apud Polonos temere defendenda suscepit, druk. in fol. a. 1558. Coloniae — v. Pikarski o nim Hos. Ep. nr. 1780, s. 840: immo in dies suis scriptis illorum capita contandere solet, maxime in eo libello, quem contra virus Brentii Ptas V. R. edidit, in quo videtur suam Ecclesiae restituere autoritatem. Utinam illum libellum Ptas V. R. ad finem perducat et in lucem emittat! Magnam frugem ille adferre potest Ecclesiae, cuius autoritas nunc ab adversariis extenuatur... W sierpniu, b. r. miał już dwa rozdziały gotowe: Hos. Ep. nr. 1808.

[4]) Hos. Ep. nr. 1829, 1862.

[5]) Hos. Ep. nr. 1816. 1821. W roku 1557 wyszła drukiem Konfesya w Dyllindze i w Moguncyi, tutaj nakładem księgarza poznańskiego Jana Patmusa, Hos. Ep. nr. 1800, 1811 i i.

i rozsiewali o nim złośliwe plotki.[1]) Gdy w Toruniu po sejmie obalono katolicyzm a wprowadzono protestantyzm, puszczono po nim pogłoskę, że Hozyusz miał na wieść o tem zakończyć życie.[2]) W zapusty bież. roku wydrukowano w Gdańsku jakiś bardzo zjadliwy paszkwil na niego i rozrzucono go po Polsce i Pomorzu. Paszkwil ten do głębi go dotknął. Skarżył się w Wilnie na to *libellum famosum,* pełne zniewag, obelg i kłamstw. Była w niem wzmianka o wojewodzie wileńskim, który go miał nazywać jadowitym wężem, były słowa zwrócone do Elblążan, aby go nie słuchali i za biskupa swego nie uważali.[3]) Hozyusz nalegał na podkanclerzego, aby zakazał w Polsce go czytać. Przerębski chociaż nie obiecywał mu, że zakaz podobny ogłosi, gdyż nie rozumiał, w jaki sposób można zabronić czytania jakiejś książki, jednak zapewniał urażonego Hozyusza, że ukarze autora, jeśli go tylko on sam odkryje.[4]) O autorstwo paszkwilu podejrzany był Hoppius, były rektor szkoły chełmińskiej, prześladowany przez Hozyusza jako luteranin, tudzież Krzysztof Czema, syn Achatiusa Czemy, wojewody malborskiego.[5]) Paszkwil ten napisany po niemiecku jakiś profesor wittenberski przełożył na język łaciński, a Hozyusz nawet lękał się, aby go nie przełożył także na język polski,[6]) nie miał zarazem żadnej nadziei, aby jego autorów dosięgła w Polsce zasłużona kara.[7])

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1860 (scribuntur contra me libelli famosi — nemine prohibente) lub nr. 1874 (Ich zwischen allen Bischöffen werde hie zum meysten verfolget). Słowa Hozyusza pierwsze wypowiedziane w liście do prymasa, drugie w liście do królowej Katarzyny, z okazyi paszkwilu, o którem poniżej.

[2]) Hos. Ep. nr. 1771, s. 834.

[3]) Hos. Ep. nr. 1771, s. 833. Paszkwil ten widział w zapusty tego roku dr. Krzysztof Heyll, o czem w kwietniu zawiadomił Hozyusza: Hos. Ep. nr. 1735. W poście t. r. właśnie Elblążanie: mutaremut omnes vitas: Hos. Ep. nr. 1754. Przy tej okazyi przypomniał sobie Hozyusz ich żądania i warunki ugody religijnej, stawiane rok temu na sejmie malborskim i z gniewem pisał o nich: sic mihi pastori et Episcopo suo leges praescribunt i s t i r u d e s a s i n i! (Tamże). Odpłacał się „heretykom“ pięknem za nadobne.

[4]) Hos. Ep. nr. 1798, 1893.

[5]) Hos. Ep. nr. 1771, 1861.

[6]) Tamże.

[7]) Autor esse libelli putatur Hoppius, sed ego facile quis sit autor cognoscerem, si quid in vobis — ze strony króla i dworu — fore

Szczególniejszą uwagę zwracał Hozyusz na osobę króla i na zachowanie się jego względem edyktu warszawskiego. W listach do niego lub do sekretarzy jego przypominał mu nieustannie ten edykt, przypominał słowo królewskie, dane mu na sejmie, że ogłosi także mandata przeciw miastom pruskim.[1]) Czekał niecierpliwie tak edyktu, jak owych mandatów, cieszył się, że w edykcie miał król uwzględnić jego uwagi i rady, wypowiedziane na sejmie, lecz cieszył się napróżno.[2]) Wprawdzie otrzymał od Karnkowskiego, sekretarza królewskiego, w marcu jeden egzemplarz edyktu, ale nie zaopatrzony pieczęcią koronną,[3]) otrzymał też w przededniu wojny inflanckiej jakieś trzy mandata w sprawie religii,[4]) jednak ani z edyktu, ani z mandatów nie mógł robić użytku, bo nie miały nigdzie posłuchu. Częste interpelacye jego w tej sprawie ściągały tylko na niego urazy i niechęci ze strony króla i dworu. Ostrzegał go Tomasz Bonawentura, by nie pisywał zbyt często do Karnkowskiego, którego sobie obrał po wyjeździe Kromera z Wilna za głównego korespondenta swego, gdyż listy jego żle są widziane.[5]) Hozyusz jednak nie zrażał się tem wcale, nie zrażał się i tem, że listy jego często pozostawały bez odpowiedzi,[6]) że go nazywano w Wilnie tetrykiem, Katonem,[7]) że z większą ufnością zwracano się do „schizmatyków“ wszelakich, n. p. do księcia Radziwiłła, księcia Albrechta, lub do Achaciusa Czemy, wojewody malborskiego,[8]) niż do niego albo do innych „z bożej łaski katolików“, zasługujących na większą od nich w rzeczach religii wiarę.[9]) Tylko pisał z goryczą do Karnkowskiego: „Gdyby żyli teraz owi Tomiccy, Choińscy, Maciejowscy, dodam nawet Gamratów i Konarskich, chociaż pieczęci nie mieli,

---

praesidii certum haberem, sed videor hoc auditurus a vobis: fiunt haec et Mtr Regiae, słowa z listu do Karnkowskiego, Hos. Ep. nr. 1771.

[1]) Hos. Ep. nr. 1711, 1723.

[2]) Hos. Ep. nr. 1712, s. 786, nr. 1716.

[3]) Hos. Ep. nr. 1722, s. 795 i nr. 1771 s. 833. Biskup chełmiński nie miał żadnego.

[4]) Hos. Ep. nr. 1798. Później miał otrzymać mandat przeciw Gdańszczanom Jan Kostka, kasztelan gdański — v. Hos. Ep. nr. 1893.

[5]) Hos. Ep. nr. 1703, 1877.

[6]) Hos. Ep. nr. 1723, 1731, 1754, 1755, 1844, 1877.

[7]) Hos. Ep. nr. 1716.

[8]) Hos. Ep. nr. 1718, 1723, 1877.

[9]) Hos. Ep. nr. 1716, s. 790.

nie wątpię, że te dowody mej gorliwości umieliby uznać. Teraz do kogo tylko piszę, choćby do biskupa, natychmiast ściągam na siebie urazę, zaledwie do sekretarzy ośmielam się pisać o religii. Gdyby tak postępowali heretycy jak my, gdyby nie ufali sobie wzajemnie, nie porozumiewali się ze sobą, nie wzniecaliby w nas tyle obawy. Gdyby widzieli, że król jawnie przyznaje się do katolicyzmu, niczegoby nie pominęli, aby go przychylić na swoją stronę, my zaś nic innego nie robimy, tylko narzekamy... Lecz może znowu się nie podobam, że to piszę, wszakże zapewniam solennie, że jeśli co piszę, to w dobrej a nie złej myśli.." [1]) Myślą tą była myśl o opłakanych stosunkach religijnych w Polsce, o braku opieki nad Kościołem ze strony powołanych do niej czynników. Gdy mu przysyłał Karnkowski edykt warszawski, uprzedzał go z góry, że ten edykt wykonywany nie będzie, twierdząc, że został wydany tylko dla formy. Cała siła tego edyktu spoczywa zdaniem jego w egzekucyi a egzekucya w ręku króla i panów rad koronnych, tymczasem król mało troszczy się o religię, a senat w wielkiej części zarażony jest herezyą. [2]) Karnkowski wyraźnie wypowiadał to, o czem Hozyusz w głębi duszy sam był przekonany, na co miał patrzyć własnemi oczyma, na samym sobie doświadczać. Poznaję, że zażartowano sobie na sejmie z religii — skarżył się przed Karnkowskim. Widział bowiem, co się działo w jego dyecezyi, słyszał, co się działo w Polsce, jak sobie lekceważono edykt królewski w Prusiech gdzie mówiono wprost: nie obcy nam mandat królewski, ale my znamy także myśl króla, wiemy, że wola jego jest inną. [3]) Tak miał mówić także pewien rzemieślnik z Allensteinu, miasteczka war-

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1877, list z 7. listopada t. r.

[2]) Hos. Ep. nr. 1722. Za pusty tylko panegiryk należy uważać głośny wiersz „Chiliasticon" Piotra Royzyusza, napisany przeciw Elegii Andrz. Trzycieskiego, De Sacrosancti Evangelii, wydany w bież. roku w Krakowie, w którym poeta podniósł zasługi senatorów duchownych i świeckich dla Kościoła katolickiego, między nimi, Zebrzydowskiego i jego braci, Bartłomieja i Kacpra. Wiersz ten ofiarował Royzyus byłemu nuncyuszowi, Lippomanowi. Podnosząc zasługi senatorów, napiętnował także błędy heretyków, którzy zdaniem jego na to zohydzali władzę papieża, na to podżegali przeciw niemu gniewy ślepego tłumu, aby tę władzę zrzucić z siebie i bezpodzielnie panować: Hos. Ep. nr. 1790, przyp. 1. nr. 1845, Ossoliński, Wiadomości. T. II. s. 155 i n.

[3]) Hos. Ep. nr. 1771, 1754, 1786, 1837, 1893, s. 929.

mijskiego. Wojewoda chełmiński, Jan Działyński, dziękując mu za przysłany sobie „wypis sejmowy około religii", pisał: „Ale baczę, iż srogości J. Kr. Mci nic się w tej mierze nie boją; bo jeśli pierwej trochę w tym sobie tajemnie poczynali, teraz prawie jawnie, a zwłaszcza w Toruniu, w Gdańsku, tak słyszę i w Elbyngu: W Toruniu już i sakramenta wszystko luterskiem obyczajem a prawie jawnie snać ku zelżywości temu porządkowi sejmowemu i osobie J. Kr. M." [1]) Na wieść o tem wszystkiem upewniał się Hozyusz w tem przypuszczeniu, że działo się to istotnie za wiedzą króla. Do żywego oburzyła go wiadomość, że także Łaski przybył był do Wilna na czyjeś wezwanie, że może wezwanie to otrzymał od króla. Dziwił się, że nawet w obliczu króla pierwszy edykt jego, który wydał na sejmie za wolą senatu, został znieważony. [2]) Zdumiewają się ludzie, — pisał do Pikarskiego — gdy fakt ten lepiej rozważają. Sądzę, że albo inaczej król myśli, jak napisał, albo że heretycy nie uznają go za swego władcę. [3]) W listach do sekretarza królewskiego Karnkowskiego, najbardziej piętnował tę okoliczność, że heretyków nie przerażała groźba, wyrażona w edykcie, iż będą uważani za nieprzyjaciół ojczyzny i za burzycieli pokoju, [4]) że natomiast sami wszędzie głosili, jakoby edykt ów nie był wyrazem woli królewskiej. [5]) Pisał tedy: „Chociaż chce mię przekonać W. W., że wszelkie nowości w religii dzieją się wbrew woli króla, jednak widzę własnemi oczyma, słyszę na własne swe uszy, niemal rękoma dotykam, iż zupełnie przeciwnie się dzieje, jawnie bowiem głoszą heretycy, że wszystko czynią podług woli króla." [6]) Nie zadowalniało go i nie uspakajało go zapewnienie nawet samego króla, że niesłusznie go posądza o brak dobrej woli, o rozmyślną powolność dla heretyków lub chęć lekceważenia swojej osoby. Narzekał nieustannie na niego i na sekretarzy. Ale zapewnienia króla były wcale przekonywujące. Zdaniem jego nie powinien był Hozyusz mieć żalu do niego, jeśli czasem z jego kancelaryi nie otrzymał na swój list odpowiedzi: nie otrzymał, bo nie zawsze było na co odpowiadać. Nie powinien się też dziwić, że się dzieją zmiany w religii. Zaiste i on

[1]) Hos. Ep. nr. 1743, list jego z 15. kwietnia 1557.
[2]) Hos. Ep. nr. 1755, s. 820.
[3]) Tamże.
[4]) Hos. Ep. nr. 1844.
[5]) Hos. Ep. nr. 1771.
[6]) Tamże.

trapi się tem, chociaż to nieszczęście dotknęło nie tylko królestwo jego, ale niemal cały świat chrześciański, nawet Włochy przecież! Przynajmniej on nic więcej, już zrobić nie może nad to, co zrobił dotychczas. Wszak już napominał tych, od których to zależy, by ratowali upadający Kościół soborem powszechnym, a napominał tyle razy napróżno! Nawet nie wie, jak można inaczej temu złemu zaradzić. Tak samo nic nie może poradzić temu, że jego edykty podczas jego nieobecności w Królestwie nie są szanowane. Gdy załatwi sprawę inflancką, pomyśli nad tem i przedłoży odpowiednie wnioski sejmowi...[1]) Ale Hozyusz był głuchy na te wymówki i obietnice, nie widział bowiem przyczyny, dlaczegoby edykty nie miały być szanowane, gdyby były wyrazem prawdziwej woli królewskiej, gdyby król sam nie dawał o sobie złego świadectwa.

Postępowanie Zygmunta Augusta w tym czasie istotnie mogło razić biskupa, myślącego i działającego po katolicku. Mógł sądzić po niem, że nie egzekwował edyktów dla tego, bo nie chciał, że nie bronił katolików, bo sprzyjał różnowiercom i hołdował religijnym ich formom. W tym właśnie roku bronił wobec niego komunii pod dwiema postaciami. Tłómaczył mu, że nie można jej uważać za zdradę wobec Kościoła katolickiego. Wszak pozwala na nią w swoich państwach król Ferdynand, on sam musi ją cierpieć w wielu miastach pruskich, toleruje ją w obrządku greckim i ormiańskim, dlaczegożby nie miał tolerować w katolickim?[2]) Bronił zaś tej komunii dla tego, że chciał uczynić

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1768.

[2]) Hos. Ep. nr. 1879. Na Pomorzu, należącem do dyecezyi kujawskiej, tak głęboko zapuścił korzenie protestantyzm, że król z obawy poważniejszych rozruchów religijnych udzielił Gdańszczanom, najbardziej skłonnym do buntów, dekretem z dn. 5. lipca b. r. koncesyi na komunię pod dwiema postaciami: Hos. Ep. nr. 1786, tekst i przypis. 2. O rozruchach religijnych w Toruniu i wprowadzeniu tam obrzędów protestanckich za tajemną zgodą króla, wspominał nieraz z ubolewaniem Hozyusz: Hos. Ep. nr. 1771 i in. W Gdańsku wprowadzono komunię pod dwiema post. dn. 31./X. b. r. (nr. 1888, przyp. 1.). Także nr. 1893, gdzie mowa o zniesieniu dawnych obrządków katolickich w trzech miastach: w Gdańsku, Toruniu i Elblągu, podług słów mandatu królewskiego danego Kostce, kasztelanowi gdańskiemu, który miał dopiero wystąpić przeciw tym reformom. Zatem były te reformy w bież. roku 1557 tolerowane. Ale Kostka mandatu nie wykonał. Król nie

przysługę znanemu wrogowi Hozyusza i katolicyzmu, Achacyuszowi Czemie. Wojewoda wstawiał się u niego osobiście za swym zięciem, Janem Prenckem, usuniętym przez Hozyusza z urzędu prefekta biskupiego zamku i miasta Braunsbergu za to, że żona jego a córka wojewody, Eufrozyna, nie chciała podług życzenia Hozyusza komunikować się podług obrządku katolickiego. Opór jej wziął Hozyusz za bunt przeciw władzy biskupiej, za objaw skłonności do herezyi. Kiedy więc król i dwór wstawiali się za rzekomo niewinnym osobiście Prenckem,[1]) groził, że raczej zrezygnuje z godności biskupa, na wygnanie pójdzie, a nie będzie cierpiał na tak wysokim urzędzie w swym mieście — herezyi.[2]) Używał nawet pośrednictwa prymasa, aby w interesie całego episkopatu polskiego wyperswadował królowi, by nie przyjmował na siebie w tej drażliwej sprawie roli protektora.[3]) Jednak król nie tylko przyjął tę rolę na siebie, ale nadto w tym samym czasie, kiedy bawił u niego w Wilnie Achacyusz Czema, a było to w jesieni t. r. po wyprawie inflanckiej, zupełnem pomijał milczeniem jego częste listy, ściągając na siebie jego podejrzenie, że prowadził z nim wówczas tajne konferencye religijne, tak samo jak odbywał je z nim Radziwiłł, i że z tego powodu odwrócił zupełnie umysł swój od niego, jako od obrońcy katolicyzmu.[4]) Podejrzenie to skłaniało Hozyusza do tem większego czuwania nad nim i nad jego całem otoczeniem. Z okazyi sprawy prefekta swego, toczącej się na dworze wileńskim, pisał także do królowej Katarzyny, wyrażając nadzieję, że nie tylko ona sama dochowa wiary Kościołowi katolickiemu, ale roztoczy także opiekę nad dostojnym małżonkiem swoim, aby nie uległ podszeptom wrogów Kościoła. Pismo jego było wystosowane w porę, bo i Katarzyna w tym czasie — jak donosił mu Tom. Bonawentura — okazywała wielką chęć używania przy komunii św. kielicha, chociaż odradzał jej go jak wogóle wszelkich stosunków z heretykami i religijnych z nimi dysput sam ojciec jej, król Ferdynand.[5]) Hozyusz chcąc ją prze-

---

chciał nawet wierzyć, że w październiku wprowadzono w Gdańsku urzędownie komunię pod 2-ma postaciami. (Hos. Ep. nr. 1903, 1907). Nie wierzył, bo tolerował.

[1]) Hos. Ep. nr. 1878, 1880.
[2]) Hos. Ep. nr. 1844, 1858, 1872.
[3]) Hos. Ep. nr. 1860.
[4]) Hos. Ep. nr. 1869, 1877.
[5]) Hos. Ep. nr. 1828, 1806.

konać o potrzebie trzymania się dawnej wiary, skreślił jej w kilku dobitnych słowach ówczesną anarchię religijną, która i jej małżonka miała odstraszyć od dalszych stosunków z wrogami Kościoła. Pisał tedy: „Każdy chce mieć swój własny Kościół, chce także mieć swoją własną wiarę, nie chce znać powszechnego Kościoła. Już niestety do tego doszło, że Chrystusa Pana, Naszego Zbawiciela, nie uznają za Boga, tylko mają za jakiegoś tam prokuratora i pośrednika u Boga Ojca. Coś podobnego publicznie na piśmie przedłożono przed dwoma laty na sejmie piotrkowskim królowi i panom radom koronnym... My, biskupi, już teraz nie jesteśmy potrzebni, każdy sam sobie biskupem. Każdy chce pismo św. tłomaczyć podług swego upodobania, każdy chce Kościół urządzać podług swego widzimisię, ztąd powstają przerażające sekty i błędy, których teraz wszędzie pełno...“ [1]) Ale słowa Hozyusza przebrzmiały w Wilnie bez echa.

Właśnie owo postępowanie króla, pełne dwulicowości w wykonywaniu swoich własnych rozporządzeń a ukrytej lub jawnej niechęci do katolików, którą głęboko odczuwali tacy jak Ocieski lub Hozyusz, było nie tylko powodem owej anarchii religijnej, jaka po sejmie warszawskim ogarnęła całą Polskę, ale także wpływało niezmiernie ujemnie na biskupów polskich. Widząc, że teraz w równem była poniżeniu powaga królewska, jak ich własna biskupia, [2]) widząc, jak król salwował swoją władzę na inne czasy, a sami nie mogąc używać swojej, woleli nic nie robić, niż się narażać i dręczyć, jak Hozyusz. Prym między nimi wiódł Zebrzydowski. Nie rozumiejąc i nie odczuwając potrzeby dawania dobrego przykładu z samego siebie, daleki był od naśladowania wzoru, jaki mu przed oczy stawiali w osobie Hozyusza, owej „perły duchowieństwa“, jego kanonicy. [3]) Wygodniej mu było naśladować króla...

Wyrazem upadku, zobojętnienia i rozprzężenia episkopatu polskiego był synod, który zwołał prymas w maju b. r. do Piotrkowa celem uchwalenia kontrybucyi wojennej dla króla. Upamiętnił się ten synod sporem o komunię pod dwiema postaciami, wybuchłym między Zebrzydowskim i Uchańskim a delegatami kapituł. Nasz biskup i biskup chełmski byli nadto jedynymi na

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1874, list z 5. listopada 1557.

[2]) Hos. Ep. nr. 1712, 1723.

[3]) Hos. Ep. nr. 1751. Górski, kan. krak. nazywa go „gemma sacerdotum“.

nim przedstawicielami episkopatu,[1]) inni bowiem biskupi uchylili się od udziału w nim już to z powodu choroby, podagry, chiragry i innych słabości, jak Czarnkowski lub Drohojowski,[2]) już to z obawy spotkania się na nim z heretykami, którzy mogli pojawić się pod pretekstem, że chcieliby się czegoś nauczyć, a w istocie, aby wywołać pożądaną przez siebie dyskusyę o dogmatach religijnych. Tego spotkania obawiał się Hozyusz, opierał swe obawy na pewnych poważnych „konjekturach“ czyli domysłach, zresztą nie bardzo interesował się synodem, jako zwołanym w sprawie, nie obchodzącej go bezpośrednio,[3]) usprawiedliwiając przed prymasem swoją nieobecność kłopotami z zaciężnem wojskiem, które snadź zbierał wówczas z obawy zawieruchy wojennej z powodu kwestyi inflanckiej.[4]) Tego spotkania natomiast nie obawiał się nasz Zebrzydowski, jednak pojawił się w Piotrkowie nie z poczucia obowiązku, tylko dzięki przypadkowi, że właśnie chciał oglądać pewien majątek, który dawniej nabył opodal od Piotrkowa w ziemi sieradzkiej, i inny, który niedawno nabył od St. Słomowskiego, kanonika krakowskiego, w Wielkopolsce, nazwiskiem Rusiec, z rzędu już czwarty. Dla oglądania tych majątków wyjechał przed końcem synodu pewnej nocy nad ranem, nie pożegnawszy się nawet z prymasem.[5]) Jego śladem poszli inni, zapewne Uchański i zastępcy nieobecnych biskupów, nie mogąc obradować z powodu braku kompletu. Miało to być dnia 21. maja, w cztery czy pięć dni po rozpoczęciu synodu.

Obecni na nim przedstawiciele kapituł, między nimi dwaj delegaci kapituły krakowskiej, sufragan Andrzej Szpot de Krajów, biskup laodycejski i opat wąchocki i mogilnicki, tudzież Wojciech Kijewski, kanonik krakowski,[6]) niezmiernie odczuwali brak osoby Hozyusza.[7]) Cieszyli się przynajmniej listem jego z daty 10. maja, nadeszłym do Piotrkowa pod adresem prymasa i biskupów.[8]) Bo

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1769.
[2]) Hos. Ep. nr. 1763.
[3]) Hos. Ep. nr. 1724.
[4]) Hos. Ep. nr. 1768.
[5]) Hos. Ep. nr. 1763, 1899.
[6]) Hos. Ep. nr. 1756, przypis. 2, Wierzbowski. Uchansciana, T. II. s. 67.
[7]) Hos. Ep. App. nr. 77.
[8]) Hos. Ep. nr. 1756. Przywiózł go Piotr Wyścielski, proboszcz gdański.

w liście tym zachęcał ich Hozyusz gorąco do niesienia pomocy upadającemu Kościołowi w Polsce. Wprawdzie synod zebrał się dla innej sprawy, nie dla religijnej, ale zgromadzeni na nim, zdaniem jego, nie powinni lekceważyć i pomijać sposobności omówienia stosunków kościelnych. Wszak wiedzą biskupi, jaka jest o nich opinia: nie troszczą się o sprawy duchowne, tylko o materyalne, które im dane są dla duchownych: zabezpieczywszy jedne nie czynią nic dla ochrony drugich; takie głosy publicznie podnoszono na ostatnim sejmie warszawskim. Wprawdzie on osobiście innego jest zdania, ale nie może nie boleć nad tem głęboko, że taka opinia o biskupach istnieje, że wraziła się silnie w umysły wielu. Powinni tedy wszelkimi możliwymi środkami dbać o bezpieczeństwo powierzonej sobie owczarni Chrystusowej. Środki te łatwo obmyśleć mogą. Przedewszystkiem niechby wpłynęli na króla, aby nie zapominał, że jest monarchą, i nie pozwalał na taką swywolę. Niechby także wpływali umacniająco, swoją powagą i taktem, na świeckich panów, naśladując w tem heretyków, którzy umieją zabiegać koło swej sprawy. W dalszym ciągu listu przypominał im Hozyusz zabiegi dysydentów podczas sejmu warszawskiego, od których rażąco odbijała zupełna indolencya biskupów, przypominał owe broszury, które Wergeryusz wówczas rozsiewał, podkopując niemi do szczętu powagę i jurysdykcyę biskupów, zwłaszcza ową o zasadach Brencyusza, dedykowaną czelnie samemu królowi. Właśnie on napisał już rzecz, która owe zasady zbija. Do listu swego dołączył gotową część tej swojej pracy, prosząc zgromadzonych biskupów, by dali ją do oceny któremu z teologów i uwiadomili go, czy zechcą wydać ją drukiem.

Tego samego mniemania, co Hozyusz, były kapituły. Kijewski, jeden z delegatów kapituły krakowskiej, miał polecone uchwałą jej z dnia 11. maja, aby zebrał na ten synod materyał synodalny z przeszłorocznego synodu łowickiego i aby wespół z towarzyszem swoim, Spottem, starał się teraz o wykonanie uchwał tego synodu. Mieli też obaj prosić prymasa i biskupów, aby nie publikowali uchwał, jakie zapadną na teraźniejszym synodzie, bo w przeciwnym razie narazić je mogą na takie bezecne i potwarcze komentarze ze strony heretyków, na jakie narazili uchwały łowickie. Przy dyskusyi nad kontrybucyą mieli przemawiać za kontrybucyą pojedynczą przeciw podwójnej, o którą miał prosić król, a to ze względu na zbyt wygórowaną i dotkliwą taksę dóbr krakowskich dyecezyalnych, wyższą od taksy dóbr, przyjętej w innych dyecezyach, tudzież podnieść wszystkie krzywdy, szkody, zabory, łu-

piestwa i gwałty, popełniane na dobrach i poddanych kościelnych ze strony heretyków. Podnieść je mieli także później wobec króla, zapewne w jakimś memoryale, który mógł mu przedłożyć razem z pieniądzmi legat jego Stanisław Dunin, kasztelan inowłocławski, umyślnie dla kontrybucyi przybyły na synod.[1]) Podobne rozporządzenia wydała dla swoich delegatów kapituła poznańska i inne.[2])

Wobec tego na synodzie dzięki presyi ze strony delegatów kapitulnych a pod wpływem zachęty listownej Hozyusza wywiązać się miała jakaś dyskusya na temat krzywd Kościoła i postępów herezyi, której owocem były nowe uchwały i nowe skargi i prośby do króla, aby ratował Kościół w zamian za ofiary, jakie dla niego duchowieństwo ponosi.[3]) Snadź jednak nie trwała ona zbyt długo, bo dekreta, dotyczące spraw Kościoła i dekret kontrybucyjny łącznie z artykułami, zawierającymi spis krzywd i postulatów duchowieństwa, były już gotowe dnia 17. maja, w którym to dniu miał się synod rozpocząć. Kontrybucyę wbrew życzeniu posłów kapitulnych uchwalono podwójną a w artykułach dotyczącej uchwały, jak niemniej w właściwych dekretach synodu ponownie poruszono wszystkie te kwestye, które poruszano na poprzednich synodach, jako dotychczas nie załatwione i nie weszłe pomimo nakazów i gróźb synodalnych w życie. Ztąd to obecny na synodzie poseł Hozyusza, Piotr Wyścielski, proboszcz gdański, donosił mu w swojej relacyi, że na synodzie traktowano rzeczy religijne powierzchownie, że prócz kontrybucyi podwójnej nic innego nie uchwalono,[4]) chcąc przez to powiedzieć, że nic no-

---

[1]) Z aktów kap. krak. Ms. V. 265—6, sub d. 11. Mai 1557 i wyciągi w Hos. Ep. nr. 1756, przypis. 2. Także: Archiwum kom. prawn. T. I. s. 450 (z materyałów ustaw synodalnych, zebr. przez Ulanowskiego).

[2]) Wierzbowski, Uchańsciana II. s. 67, lub V. s. 133: rzecz o synodzie samym na podstawie Hosiana i Uchańsciana.

[3]) Statuta synodu 1557, oraz kontrybucya na synodzie tym uchwalona zachowały się w urzędowych egzemplarzach Liber act. cap. crac. nr. 23, przedrukowane przez Ulanowskiego w Arch. kom. prawn. T. I. s. 336, XV., XVI., s. 439—450 i s. 451—456. Uchwał czyli artykułów jest 26, osobno 15 artykułów, dotyczących kontrybucyi, przy nich są wyliczone grawamina, których Kościół doznaje a które król raczy wynagrodzić (art. 8—15). W art. 1. powiedziano: contributionem duplam, hoc est per 24 grossos a marca argenti decrevit sacra synodus solvendum... Data uchwał: 17. maja 1557 r.

[4]) Hos. Ep. nr. 1786.

wego nie wymyślono, tylko dawne rzeczy powtórzono. Tak samo kanclerz arcybiskupi Dąbrowski, donosząc mu o słabym udziale biskupów w synodzie, pisał: „A tak skutkiem braku tych, od których głównie zależy cała sprawa utrwalenia religii, nie można było nic innego postanowić, chyba kontrybucyę, którą nazywamy podwójną, bo też we wszystkiem niestety piękne tylko słowa, skutku żadnego, *pulchra quidem verba, effectus tamen nullus.*“ [1]) Między temi dawnemi rzeczami, powtórzonemi na synodzie, była także kwestya szkolnictwa, spoczywającego w ręku Zebrzydowskiego, jako kanclerza *Almae Matris.* W artykule 5. uchwał synodalnych zaznaczono, że należy starać się u króla, aby zakazał wszelkich prywatnych szkół, a więc zamknął szkoły w Koźminku, Pinczowie i w innych podobnych miejscach, aby wykonał edykt ojca swego Zygmunta, wzbraniający wysyłania młodzieży na naukę do Niemiec: że należy natomiast szkoły publiczne pilnie lustrować, wizytować a zwłaszcza uważać, aby w nich nie używano katechizmów heretyckich: nadto powinno być zreformowane studyum generalne krakowskie, o czem była mowa na wszystkich synodach, we wszystkich ich statutach czyli konstytucyach: w tej sprawie daje się synodalne upomnienie przewielebnemu biskupowi krakowskiemu, jako jego kanclerzowi, zresztą porucza się umyślnej deputacyi synodalnej, aby wszelkie kwestye, tyczące się Akademii krakowskiej lub poznańskiej albo innych szkół, przedłożyła królowi... Artykuł ten bezpośrednio odnoszący się do naszego biskupa, bo krytykujący jego dotychczasową a pod każdym względem naganną działalność w zakresie szkolnictwa, uwidocznioną w zupełnem zaniedbaniu Uniwersytetu krakowskiego i szkół od niego zawisłych, mógł sam jeden pozbawić go ochoty do szczerego zainteresowania się zadaniami synodu, podniesionemi przez Hozyusza i kapituły, dlatego unikał z Piotrkowa, jakby winowajca, który się z swych czynów usprawiedliwiać nie myśli... A były jeszcze inne sprawy, dotyczące wprost obowiązków urzędu biskupiego, jak wizytacye dyecezyi, kollegiat, udział w sądach królewskich, w sejmikach i inne tym podobne, których on właśnie, jako zaniedbujący swój urząd, poruszać zbyt głośno nie chciał, wątpić tedy należy, czy na tok dyskusyi w tych sprawach osobiście wpływał, czy wogóle brał jakikolwiek w niej udział. Jeśli zachęta Hozyusza podziałała na kogo zachęcająco, przyjęta przez synod,

[1]) Hos. Ep. nr. 1763.

jak pisał prymas, nader wdzięcznie jako *adhortatio fraterna*,[1]) to z pewnością chyba na samych tylko delegatów kapitulnych, mających na myśli te same cele, co Hozyusz. Zebrzydowski był na nią głuchy.

Ale chętnie przyłączył się do dyskusyi o komunii pod dwiema postaciami, jaka wywiązała się zapewne przy omawianiu postępów protestantyzmu i środków, jakimiby je można powstrzymać. Był to temat, który chętnie poruszali w dyskusyach swoich ówcześni protestanci, który natomiast tacy ortodoksi, jak Hozyusz namiętnie zwalczali, jako widomy symbol apostazyi od obrządku katolickiego. Jeśli jakiej się obawiał dyskusyi Hozyusz, to właśnie tej, którą zainicyowali na synodzie obaj jedyni przedstawiciele episkopatu, Uchański i Zebrzydowski. W dyskusyi tej obaj starali się przekonać delegatów kapitulnych, że wprowadzenie do Kościoła katolickiego komunii pod dwiema postaciami mogłoby być znakomitym środkiem politycznym do uśmierzenia waśni religijnych w chrześciaństwie, pomostem do zgody z protestantami... Ale delegaci ten projekt ich, będący wyrazem ówczesnej postępowej opinii katolickiej, przyjęli z oburzeniem. Donosi o tem w swojej relacyi o synodzie temi słowy delegat krakowski, W. Kijewski: „Na ostatnim synodzie piotrkowskim byłem posłem, gdzie okropną rzecz nową usłyszałem, nasz biskup usiłował nas przekonać do komunii pod dwiema postaciami, zaś chełmski pochwalał projekt jego, jako święty i zbawienny. Nie dziwiłem się chełmskiemu biskupowi, boć wiem, że skłania się do nieprawości heretyckiej, ale naszemu dziwiłem się niezmiernie. Obaj chcieli wmówić w nas swoje mniemanie a raczej nieprawość heretycką, dowodząc, że nawet król poczuwa się do winy o to, że dotychczas nie przyjmował komunii pod dwiema postaciami, a jeśli mu na nią nie pozwolimy, sam sobie na nią pozwoli, pozbawi nas swojej opieki i wyda nas na łup heretyków, których potęga wszędzie jest wielką. W imieniu posłów kapitulnych odpowiedział im dr. Gabriel, kanonik gnieźnieński, który był deputatem kapituły gnieźnieńskiej: chociażby sami błądzili bardzo, kler bynajmniej nie chce odłączać się od Kościoła: następnie bardzo poważne argumenta przytoczył, którymi przekonany nasz biskup zmienił zupełnie pierwotne swoje zdanie i prosił, aby mu je przedłożono na piśmie; tymczasem

[1]) Hos. Ep. nr. 1764, list prymasa z 22. maja 1557 z Piotrkowa.

chełmski milczał, zachowując intrygi swej złości na inny czas".[1]) Relacyę tę Kijewskiego uzupełnił Dąbrowski w swym liście do Hozyusza tą uwagą, że jeden z biskupów zwyczajem swoim usilnie dążył do tego, aby przyzwolić na ową komunię na najbliższym sejmie, gdyż na sejmie właśnie gwałtownie jej się domagano, a biskup krakowski podniecał go, zdając się sam skłaniać do niego, z zastrzeżeniem jednak, aby rzecz ta uzyskała aprobatę Kościoła powszechnego; natomiast kapituły osądziły, że nie należy na nie przyzwalać i stawić choćby krwawy opór wszelkim napaściom i postrachom nawet największym, uznały też za stosowne, aby synod do Ojca św. napisał, jak w tej kwestyi należy postąpić, a zarazem go prosił, aby sobór powszechny doprowadził do skutku..." [2])

Przebieg powyższej dyskusyi świadczy o przewadze, jaką mieli na synodzie delegaci kapitulni. Nie tylko obalili projekt biskupów, ale przeprowadzili uchwały, wprawdzie będące powtórzeniem uchwał poprzednich synodów, jednak równocześnie wyrazem niezadowolenia z dotychczasowej ich działalności, które okazali głównie Zebrzydowskiemu i Uchańskiemu, jako obrońcom niekatolickiej komunii. Obok nich w jednym z artykułów napiętnowali także stosunki, jakie utrzymywał z heretykami Drohojowski, podobnie jak napiętnowali niedołęstwo zarządu szkolnego, reprezentowanego przez Zebrzydowskiego, zupełnie nie troszczącego się o szkoły. Uchwały te miały dojść do wiadomości papieża, którego stosownie do wniosku delegatów prosić miano o przyspieszenie soboru powszechnego, jako jedynego środka zbawczego dla upadającego Kościoła i upadłego moralnie i religijnie jego kleru. Podnietą dla delegatów do wypowiedzenia słów prawdy biskupom miał być, podług słów Dąbrowskiego, także ów list Hozyusza, który krył pod płaszczem braterskiego upomnienia surową krytykę całego episkopatu polskiego.[3])

Podczas synodu czytano także pracę Hozyusza o Brencyuszu i Wergeryuszu, przeglądał ją naprzód Uchański, potem dr. Gabryel, także prawdopodobnie prymas, który w imieniu wszystkich przesłał autorowi pochwały z prośbą i z życzeniami, aby ją jak

[1]) Hos. Ep. nr. 1789.
[2]) Hos. Ep. nr. 1763.
[3]) Hos. Ep. nr. 1763: Litterae V. Dnis R. omnibus hic fuerunt gratissimae et maxime apud Capitula, quae magnam exportationis faciendae D. Episcoporum praestiterunt occasionem, pisze D. do H.

najprędzej ukończył i drukiem ogłosił.[1]) Ale pracy tej nie przeglądał Zebrzydowski a z nim wielu innych prałatów, gdyż egzemplarz jej przesłany przez Hozyusza pozostał w ręku dr. Gabryela, który nie udzielił go innym, nie mogąc sam dla braku czasu podczas synodu lektury ukończyć.[2])

Zaszczytną także zrobiono wzmiankę o Konfesyi Hozyusza, która — zarówno jak Konfesyę łowicką — potwierdzono. Czytano także nadeszły z Wilna od podkanclerzego Przerębskiego list, w którym podkanclerzy donosił synodowi o sukcesach Łaskiego w Wilnie, zachęcał biskupów, aby wyprawili do papieża poselstwo z relacyą o stanie Kościoła w Polsce i z prośbą o sobór powszechny, bo gdy się tylko sobór zacznie, zamknie się nim drogę wszelkim „instancyom przeciwników", zachęcał w końcu, aby wyprawili delegata polskiego na kongres religijny, zebrać się mający za inicyatywą króla rzymskiego w sierpniu b. r. w Wormacyi. Głos Przerębskiego o tyle nie przebrzmiał bez echa, że i on wpłynął na uchwałę synodu, by szukać ratunku dla Kościoła u papieża i soboru powszechnego... Ale nie wpłynął na wybór delegata na kongres wormacki, chociaż ostrzegał, że w nim udział wziąć mają dysydenci polscy. Synod bowiem nie powziął o udziale teologów polskich w tym kongresie żadnego postanowienia.[3])

Dr. Tadeusz Troskolański.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1764.
[2]) Hos. Ep. nr. 1763.
[3]) Hos. Ep. nr. 1763, 1815, 1825. Kongres ten zebrał się dn. 24. sierpnia b. r. Brali w nim udział także protestanci luteranie (Melanchton i inni). Mieli brać udział i polscy dysydenci. Kalwin nie otrzymał nań zaproszenia. W Polsce krążyły w b. r. wersye, że kongres ten zniósł celibat, dozwalając się żenić tak biskupom jak kapłanom: zresztą nie wiedziano wiele, a raczej nic o nim: Hos. Ep. nr. 1825, 1842, 1844. Jeszcze w kwietniu t. r. wiedział o nim Hozyusz tyle, że to „colloquium vormaciense" zostało postanowione w Regensburgu, i że zastrzeżono mu wszelką swobodę dyskusyi: Hos. Ep. nr. 1749. Dopiero w następnym roku 1558 pojawiają się o nim w Polsce szersze wiadomości: Hos. Ep. nr. 1919, 1945: „Widzieliśmy też tu scriptum tegoż Melanchtonis pisane absque titulo, ale znać, iż jego, w którym wypisuje sprawę colloquii Vormaciensis i tym zawiązuje, iż per nostros est colloquium dissipatum" — pisze 30. kwietnia 1558 r. z Poznania Sebastyan, kustosz kurnicki do Hozyusza. Melanchton miał się poróżnić w Wormacyi ku uciesze katolików z jednym z teologów protestanckich.

Pamiętnik Napoleona Sierawskiego,

oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego.

(Ciąg dalszy).

W ten sam dzień bitwy pod Iganiami, generał Umiński, po przeprawieniu się przez rzekę Liwiec, zdobył bronione miasto Węgrów, o mil siedm w lewo od Siedlec położone. Dowodził pięciu batalionami piechoty i dziesięciu szwadronami jazdy, z odpowiednią artyleryą.

Gdyby bitwa pod Iganiami była wygraną w swych skutkach spodziewanych, gdybyśmy poparli Rossyan ku Brześciowi Litewskiemu, Umiński również pod Węgrowem zwycięzca, mając tylko mil sześć lub siedm od granicznego Buga, z łatwością mógłby wpaść w obwód Białostocki przez Drohiczyn i tworzyć dalekie, ale pomocnicze nasze lewe skrzydło, w dalszem wojny prowadzeniu.

W trzydzieści dziewięć lat później obowiązki cywilnej mej służby zagnały mnie w r. 1870 do dóbr Iganie. Właścicielem ich był p. Gorzechowski; z nim obchodziłem pola owej bitwy niegdyś stoczonej; widziałem mogiły naszych i Rossyan już zaklęsłe; w ogrodzie dworskim wybrukowana była cała jedna ulica wyoranemi kulami armatniemi. Przy szosie stoi pomnik w lasku sosnowym, krzyżem żelaznym opatrzony; na nim napis:

H i p o l i t S t o k o w s k i
10. kwietnia 1831 roku.

Tu to spoczywają prochy walecznego żołnierza. Stokowski był kapitanem w pułku grenadyerów, poległ od kuli działowej, od tego pomnika o kilkanaście kroków. Pamiątkę tę wystawiły mu żona i siostra. Jeszcze niedługi przeciąg czasu, a miejscowi nawet wiedzieć nie będą, kto był Stokowski i dlaczego tu pochowany!...

Czytając ten lakoniczny napis nagrobkowy, szczerze westchnąłem za duszę poległego; odtwarzałem sobie jego postać, bom go znał z widzenia i mimowolnie przypomniała mi się strofa, ze starej pieśni naszych legionów włoskich, utworu, zdaje się, Godebskiego, pułkownika, poległego również pod Raszynem w roku 1809.

Tam, gdzie ten dąb strzaskany sterczy,
Tam wznosił się Orzeł Biały...
Tam, idąc w ogień morderczy,
Polskie szeregi padały!...

Boże! co z grobów łona
Wskrzesisz ludzi w Sądu chwili...
Ty spamiętasz tych imiona,
Co tu za swój kraj walczyli!...

Kiedy wojska polskie zwyciężały Rossyan w środku swych działań i na lewem skrzydle, chociaż bez osiągnięcia spodziewać się dających przeważnych korzyści, mniej dobrze się powodziło na wysokiej Wiśle, pod Puławami i miastem Kaźmierzem. Generał Sierawski z nielicznym swym korpusem, składającym się w piechocie z samych prawie kosynierów, których ośm batalionów miało tylko w pierwszym szeregu karabiny, z kilku szwadronami nowego pułku Krakusów i tyluż jazdy kaliskiej, przeprawiwszy się przez Wisłę pod Solcem, zabrał wprawdzie magazyny przez Rossyan w Kaźmierzu nagromadzone, ale zanadto zaufany w męztwo nowo zaciężnych, przyjął bitwę z korpusem generała Kreutza w górach miasto Kaźmierz otaczających. Kreutz dowodził szesnastu batalionami piechoty, miał 24 armat, pod tą przewagą cofał się Sierawski, zdołał mimo silnego Rossyan nacierania, przeprawić znaczną część swego wojska za Wisłę, z sześciu armat nie stracił ani jednej. Poległych, ubytych z szeregu, lub wziętych w niewolę było jednak z naszej strony do 1.000 ludzi. Wśród rannej bitwy i silnej mgły, Sierawski na czele jazdy kaliskiej, zamierzył pójść na armaty rossyjskie i takowe zdobyć. Obejrzał

się, był sam z jednym adjutantem: rzucili się kozacy, chcieli go pojmać żywcem, uszedł jednak, ale konia tak mu pokaleczyli pikami, że zdechł w dni parę. Straż tylną cofających się w silnej górzystej pozycyi, wstrzymał Juliusz Małachowski: otoczony, nie przyjmując pardonu, legł na miejscu. Po wojnie, za pozwoleniem rządu, odkopać kazała jego rodzina te szczątki. Przeprowadzono je do Końskich i tam w grobach familijnych są pochowane.

W Kaźmierzu, na miejscu zgonu Małachowskiego, postawiono trzy wysokie krzyże, widne nawet z za Wisły, bo są wzniesione na wysokiej górze. Byłem u ich podnóża. Bitwa ta pod Kaźmierzem, a raczej pod wsią Wronowem, datuje się 13-go kwietnia owego roku.

Generał Umiński, posuwając dalej odniesione korzyści pod Węgrowem, napierał ciągle na Rossyan. Przegnał ich przez Sokołów i Mokobudy 21. kwietnia i tym sposobem zbliżył się do punktu środkowego naszych działań.

Zwycięztwa te, odnoszone przez nasze wojska, rozniosły szybko wieści po kraju i za jego granicami: dowodem ich było do dwudziestu tysięcy wziętego rossyjskiego niewolnika, a tych rząd posłał w województwa na lewem brzegu Wisły położone, w pomoc właścicielom ziemskim do prac rolnych. Żołnierze ci spokojnie się zachowywali, pracowali chętnie za żywność tylko, bardzo mała liczba uciekła do Prus sąsiednich.

Ośmielona naszem powodzeniem, nareszcie pierwsza Żmudź, a następnie Litwa powstała. W początkach kwietnia uderzyła na kilka głównych miejscowości: Matuszewicz zdobył Troki; w Oszmianie powstańcy zabrali 100.000 złotych, 10.000 ładunków i wielkie zapasy. Zemścił się okrutnie po ich ustąpieniu pułkownik Werzylin: z jego rozkazu wyrżnęli Czerkiesi do nogi mieszkańców miasta, nawet tych, co z dziećmi i niewiastami do kościołów się schronili.

Gdy tak wojna idzie nam pomyślnie, gdy wojska nasze coraz większego swej wyższości nad Rossyanami nabierają przekonania, gdy nakoniec w Królestwie potęguje się zaufanie i istotne dla sprawy poświęcenie, jakaś odrętwiałość ogarnia naczelnego wodza Skrzyneckiego, oglądającego się ciągle na urojone innych państw pośrednictwo. Po takich korzyściach, po takich zwycięztwach, cofa się z wojskami i daje czas odetchnąć feldmarszałkowi Dybiczowi. Z nadejściem też świeżych posiłków, wyciągnął on swą linię bojową od Siedlec, przez Łuków, aż pod Radzyn, a miał silne rezerwy, bo gwardye, wysłane z Petersburga, stanęły

już między Bugiem a Narwią. Postanowił więc przejść w stan zaczepny. Na pierwsze jego poruszenie Skrzynecki głównym naszym siłom nakazuje odwrót ku Warszawie, zasłaniając się tylnemi strażami.

Dotąd nic nie wspomniałem o sobie, bom się obawiał, aby czytelnik niniejszego pamiętnika nie zastosował do mnie ustępu sławnej bajki, a raczej nie bajki Krasickiego:

Był . . . .
Żołnierz co się nie chwalił, szewc co się nie upijał...

Wychowany wśród legend dawnych wojen, krzepki do konia i szabli, rozwinięty ciałem i umysłem nad wiek posiadany, z wrodzonym instynktem wojskowym czułem w sobie tę odwagę, jaką — dając mi życie — przelał we mnie mój rodzic. Młodość też ma nieograniczone zaufanie w sobie. Stawałem wszędzie ochoczo do walki, biłem się dobrze, a gdy jeszcze dotąd szczęśliwie mnie kule mijały, a w osobistem starciu niejednego tego naznaczyłem, rzekłem sobie, że tak zawsze będzie.

Pomijając przeto opowiadania rozlicznych mych spotkań z nieprzyjacielem, bo na te nie mając dziś dowodu, sądzę, iż mogłyby być poczytywane za próżną chwalbę, mogę jednak śmiało tu przytoczyć jeden z ustępów mej wojaczki, jako wsparty i powagą i sprawozdaniem naczelnego wodza, w raporcie jego Rządowi narodowemu złożonym.

Dnia 25. kwietnia pułkownik Dembiński z pułkiem 4. ułanów, jazdą podlaską, 8 szwadronami Mazurów, 2 batalionami piechoty i 4 działami lekkiej artyleryi pieszej, przy pomocy nader korzystnego położenia miejscowości, potrafił długi bój utrzymać przeciwko czołu wojsk nieprzyjacielskich, podtrzymywanemu 16 armatami pozycyjnemi, a prowadzonemu przez samego feldmarszałka Dybicza. Na koniec, wskutek otrzymanego rozkazu, ustąpił ku Cegłowu. Nazajutrz 26-go, tylna straż nasza, dowodzona przez generała Gielguda, składająca się z 8 batalionów piechoty, 6 dział pozycyjnych i 16 lekkich, z pułków 2. strzelców konnych i 3. ułanów, wstrzymywała przed sobą cały korpus Pahlena i może przed przewyższającą o trzykroć razy siłą nieprzyjaciela, cofnąć by się musiała, lecz na doniesienie swych rekonesansów, iż główna nasza armia stoi pod Siennicą i posunięciem się naprzód

rozgromić może lewe jego skrzydło, wyciągnięte aż pod Cegłów, generał Pahlen wstrzymał dalsze nacieranie.

Potyczki dni 25. i 26. kwietnia, widocznie okazywały jakieś zamiary w manewrach Rossyan. Rozwinęli się oni półkolem przed nami, poczynając od Stanisławowa przecinali szosę między Mińskiem a Kałuszynem, lewem skrzydłem dosięgali Cegłowa.

Nie mieliśmy świeżego niewolnika, nasze patrole na całej linii spotykały Rossyan i z ich podjazdami ciągle się ucierały. Przy wiadomości przeto, że Dybicz jest osobiście na swym froncie, należało się mieć na baczności, co większa: odgadnąć jego zamiary. To powodowało naczelnego wodza, że wzmocnił pozycye Mińska. Pod tem miastem postawił w lasku i przy szosie generała Tomasza Łubieńskiego z kilkunastu batalionami piechoty, kawaleryą generałów Skarżyńskiego, Kickiego, Kamińskiego, oraz silną artyleryą. Mińsk był w naszem posiadaniu, obsadzony tysiącem piechoty; pułki jazdy koleją służbę forpocztową przed miastem pełniły. W mieście dowodził generał Kamiński. Nakoniec, na naszej prawej, pułkownik Dembiński obserwował Cegłów.

Dnia 29. kwietnia wieczorem nasze patrole doniosły, że Rossyanie, jak się zdaje, odwrotowy marsz poczynają.

30. kwietnia, o godzinie 4 rano, pułk nasz 5-ty strzelców konnych objął służbę w przednich strażach przed Mińskiem. Dywizyon 1. (czyli szwadrony 1. i 2.) zluzował za miastem placówki i grangardy. Szwadrony 3. w którym służyłem i 4. pozostały na rynku w mieście. Słońce zeszło nadzwyczaj pogodnie, o godzinie 9 rano już było dobrze ciepło, wiadomości od forpoczt żadnych, na linii zewnętrznej cicho.

O tym czasie przyszedł rozkaz od generała Kamińskiego, dowodzącego, jak już powiedziałem, w Mińsku, wysłania oficera z oddziałem na podjazd, w kierunku miasta Stanisławowa; że na mnie była kolej, wziąłem z plutonu ośmiu żołnierzy na ochotnika i wachmistrza Bajtarskiego, a otrzymawszy zlecenie dotarcia ile się da do wsi Trzebuczy, po zoryentowaniu się na mapie, jaką miałem w olstrze, ruszyłem.

Minąwszy nasze grangardy i wedetty, o jakie ćwierć mili od Mińska, traktem szerokim i prostym wszedłem w las a niedługi, bo widać było, jak ten trakt dobiegał do jego końca. Za lasem ukazywały się pola. Uszedłszy tak pareset kroków, ujrzałem w końcu lasu i na trakcie pokazujących się jeźdźców; posłałem więc zaraz kaprala Dziekońskiego z rozkazem wysunięcia się naprzód galopem, rozpoznania, kto jest przed nami, a jeśli to nie-

przyjaciel, dania sygnału wystrzałem z karabinka. Dziekoński kopnął się z miejsca na swej klaczy: ja z ośmiu ludźmi rozwinąłem się na całą szerokość traktu, podnosząc za sobą tuman kurzu, osłaniający słabość mego oddziału i postępowałem truchtem, ścigając okiem Dziekońskiego. Ten, podbiegłszy o jakie kroków sto od ukazujących się jeźdźców, wystrzelił, powrócił i zameldował, że to są kozacy, w liczbie od dziesięciu do piętnastu. Żeśmy kozaków za nic nie uważali, ruszyłem wyciągniętym kłusem i w krótkim czasie ów las przebyłem. Tu się okazały pola w prawo i w lewo, różnemi małemi wyniosłościami pogarbione: trakt stanisławowski biegł prosto przedenną, podnosząc się ciągle pod górę, na której wierzchołku, o jakie pareset sążni, widniał jakiś budynek.

Kozacy cofali się, rozsypani po obu stronach traktu, trzymając się za strzałem. Nie widząc z boków żadnego zagrożenia, wiedząc, że wieś Trzebucza jest pierwszą na drodze od Mińska, żwawo parłem kozaków w zamiarze dostania się na wyniosłość góry, spodziewając się z tej pozycyi rozejrzeć okolicę dokładnie. I tak się stało: dotarłem do owego budynku, a była to pusta karczma, na wpół spalona. Z tego miejsca ukazała mi się nagle rozległa w obie strony dolina, w jej głębi po lewicy traktu wieś dobrze zabudowana, a tuż za nią czerniały obozy licznej jazdy, przedstawiającej siłę kilkunastu szwadronów: dalej dymiły ogniska piechoty.

Zadanie więc moje było skończone i widziałem, co widzieć należało i czas było powracać, gdyż ze wsi gromadkami po trzech, czterech i więcej, kozacy pędem ku mnie cwałowali. Za nim się w kupę zebrali i uradzili, jak się wziąć na pewno do słabego mego oddziału, już uszedłem od karczmy pareset sążni: część kozactwa, wysłana naprzód, rozsypała się, zaczęła z janczarek strzelać, ale po swojemu, to jest, że kulki albo nas nie dochodziły, albo górowały. Ja trzymałem mój oddziałek w kupie. Nagle z prawej strony widniejącego lasu, pokazała się garstka jeźdźców, których po chorągiewkach poznałem, że to są nasi. Posłany mój wachmistrz przyprowadził mi ich, było ośmiu ułanów z podoficerem inną drogą również na patrol wysłanych. Była to słaba, ale zawsze pomoc, miałem razem siedmnastu żołnierzy. Z ułanów zrobiłem sobie rezerwę, moich szasserów szeroko na flankiery rozsypałem, a wolno odstępując, odstrzeliwałem się. Tymczasem z rezerwy dają mi znać, że od lasu odwrót mój już jest zamknięty... Istotnie, kiedy jakie trzydzieści koni kozaków ucierało się ze mną

od frontu, drugie tyle lub więcej, zasłaniając się pochyłościami gruntu i pagórkami, zabiegło mi drogę od lasu.

Na ten widok, moje szassery sami zebrali się do rezerwy: z tyłu do nas strzelają, my kłusujemy na tych, co stoją w miejscu a trakt nam zagradzają. Gdyśmy się na strzał do nich zbliżyli, z tłumu kozactwa wyskoczył jeździec, osadził konia na połowie dystansu i woła po rossyjsku: „kto komandujet wami?“ — odpowiadam: „oficer“ — a on na to: „gaficer, poddajsia brat!... nie tu dieła“! Odwróciłem się do Dziekońskiego, a był to celny strzelec z myśliwskiej służby ordynacyi Zamoyskich i pytam: „Dziekoński, zwalisz go?...“ zaiskrzyły mu się oczy, jakby się na dzika szykował: „Zwalę, panie poruczniku!“. Poklepał klacz po karku, ta się jak drut wyciągnęła, potarł paznokciem skałkę od karabinka... zmierzył parę sekund... wypalił... a ów dowódca przez zad swego konia nakrył się nogami i padł na ziemię.

Nie było co już wyczekiwać... „hura, wiara na nich!“... kopnęliśmy się z kopyta... wnet pałasze nasze zabrzęczały po spisach kozackich, kilku skiereszowanych po pyskach spadło z koni... tłum ich otworzył się przed nami, a my dalej w nogi.

Silnie nas gnało kozactwo, strzelając na wiatr, ale gdzież sprostać mogli naszym biegunom. Tak dopadamy pod las, tu znajdujemy pluton naszej grangardy, który na odgłos strzałów, wyszedł na rozpoznanie. Osadziliśmy konie zdyszane biegiem i upałem; pluton rozsypał się flankierami, kozactwo przyjął gęstym ogniem, pognał ich silnie, wnet też się cofnęli, a my w las pomału.

Tak szczęśliwie około 2-giej z południa wróciłem do Mińska, raport generałowi Kamińskiemu zdałem, alem dostał porządne napomnienie, za narażenie siebie i żołnierzy na taką awanturę. Zdaje się jednak, że ta bura była formą tylko, bo generał był zadowolony, że dowiedział się, jaka siła Rossyan obozuje już pod Trzebuczą i przy mnie rozkazał swemu adjutantowi, Ludwikowi Schendel, natychmiast dać o tem wiadomość komenderującemu generałowi Łubieńskiemu.

Czy można było w tem posłannictwie inaczej postąpić?... tego nie wiem, bo na wojnie, mianowicie w podjazdach, nie ma czasu do zastanawiania się, a dowódcą patrolu rozporządza konieczność spełnienia swej powinności i pierwsza myśl, jaką uchwyci... Zresztą: krewkość młodego wieku i zaufanie w żołnierzu, któremu przoduje. Kazano mi się przekonać, co się dzieje w okolicy wsi Trzebuczy: dowiedziałem się, nie dałem się wziąć dziesięć razy

liczniejszemu kozactwu, nie straciłem ani jednego żołnierza, jeden tylko mój wiarus — a pamiętam, że się nazywał Kaczor — lekko był przez policzek kulką draśnięty, ale i ten po obandażowaniu z frontu nie odszedł.

Gdym przybył do pułku, koledzy mi winszowali wycofania się z tej burdy; napiliśmy się wódki, przekąsili co było na pogotowiu i zdawało się, że temu już koniec. Ale nie... do końca jeszcze daleko... bo te dwadzieścia cztery godzin miały być i zostały epoką w mem życiu.

Po przekąsce, poszedłem do moich koni dojrzeć, aby miały wygodę, położyłem się potem na pęku słomy z zamiarem przespania się, pomnąc, iż na noc pójdę na grangardę; młody, zasnąłem wnet.

Gdym się obudził, słońce już zachodziło, ale jakoś chmurno: luzować mieliśmy pierwszy nasz dywizyon o 7-mej wieczór. Wtem wzywają mnie do kapitana Kosko, komendanta szwadronu. Dzielny to był i mężny oficer, ozdobiony krzyżem Legii francuskiej z Napoleońskich wojen. Pyta mnie, na kogo kolej po mnie iść na podjazd? Odpowiadam, że na podporucznika Woronieckiego. „A to głupio" — mówi, „to dziecko prawie jeszcze i do tego książę". Gdy badam o co idzie? odpowiada Kosko, że przyszedł rozkaz z głównej kwatery wysłać w nocy silny podjazd na wieś Trzebuczę lub jej okolice i kosztem jakiej bądź ofiary wziąć koniecznie Rossyanom niewolnika, a tym sposobem dowiedzieć się: czyli istotnie się z swej linii cofają lub nie?

Pomyślawszy, proponuję kapitanowi, iż, jeżeli Woroniecki zgodzi się dobrowolnie iść za mnie na placówkę nocną, to ja, znając już drogę do Trzebuczy z rannego patrolu, podejmę się tego podjazdu. Uściskał mnie Kosko, posłano po Woronieckiego, a gdy ten przystał na zamianę, bo miał wzrok krótki, stanęło na tem, że ja pójdę na tę wyprawę.

Udałem się zaraz do moich żołnierzy, zebrałem ich w kółko, objaśniłem nasze posłannictwo, a gdy te z zapałem przyjęli, kazałem jeszcze konie napaść i napoić, żołnierzom się posilić i czekać rozkazów.

Około 8-mej wieczór, opatrzywszy osiodłanie koni, karabinki i pistolety po ich nabiciu, kazano mi siąść na koń i udać się po ostateczne rozkazy do generała Kamińskiego. Generał miał kwaterę na przodzie miasta, w małym murowanym domku. Dochodząc, ujrzałem stojący oddział piechoty na ulicy. Zatrzymałem moich i udałem się do generała. Zdziwił się mnie widząc, miano-

wicie, że po owej w dzień rejteradzie, znów idę na podjazd. Gdym go zapewnił, że z dobrej woli, poprzestał na tem uśmiechając się. Adjutant Schendel przywołał oficerów od piechoty: weszli. a pamiętam dobrze ich nazwiska — byli to porucznik Łubieński i podporucznik Ksawery Dobrzelewski. Generał poinformował nas, że trzeba iść cicho i ostrożnie: doszedłszy do nieprzyjaciela, zlecił mi rzucić się nań śmiało, bez zważania na liczbę, bo to noc, a on również nie będzie wiedział kto i w jakiej sile go napada. Rozkazał strzelać mało, rąbać więcej a głównie przyprowadzić niewolnika, bez tego — dodał — wracać ci nie wolno. Oficerom od piechoty zapowiedział, że winni mnie zasłaniać, w razie potrzeby bronić: czynił ich odpowiedzialnymi za całość mojej osoby.

Podczas tej instrukcyi, adjutant Schendel wprowadził do pokoju jakiegoś cywilnego, wzrostu więcej jak średniego, w kapocie. Był to człowiek około 30 lat wieku, barczysty i silny w sobie. Tego nam generał jako przewodnika wskazał, rozkazał mu dać z swej eskorty dobrego konia, nawet pałasz na jego żądanie, pistoletów mu odmówił.

Gdy go wyprowadzono, generał upominał raz jeszcze, abyśmy się gracko sprawili. Tu porucznik Łubieński odezwał się: „panie generale! piechota zrobi swą powinność, chodzi o kawaleryę“... Krzywo nań spojrzał Kamiński, ja się nie odezwałem zaciskając tylko pięści. Na koniec, gdy z dat awansów pokazało się, żem starszy porucznik od Łubieńskiego, z wielkiem, jak uważałem, jego niezadowoleniem komendę całej wyprawy generał mnie oddał i pożegnał życząc powodzenia. Schendel, którego dobrze znałem uściskał mnie w sieni mówiąc: „jestem pewny, że zdrowo wrócisz“.

Wyszliśmy — siadłem na koń z moimi, ruszyłem naprzód, trójkami; przewodnik ze mną — piechota za nami a było jej 120 żołnierzy.

Ciemno było, gdyśmy w pola weszli, choć oczy wykol; szliśmy zwolna, by piechota zdążyła: deszczyk drobny zaczął padać, kazałem więc szasserom karabinki u zamków nakryć połami od płaszczów. Tak idąc drogą, którą rano postępowałem, z rozmowy z przewodnikiem, dowiedziałem się, że posiada kolonię pod Stanisławowem, że go kozactwo napadło i zrabowało, bydło mu zabrali, żonę skrzywdzili, sam zaś zbity ledwo z życiem uciekł do Mińska, poprzysięgając zemstę i oddał się na usługi generała. Oświadczył nadto, że zna doskonale każdą drożynę w lasach i na pewno nie zbłądzi.

Pierwszy raz widząc tego człowieka, w którego ręku pozostawało powodzenie wyprawy, a może całość, życie, lub niewola oddziału, zapowiedziałem mu, że mu wierzę, ale przywoławszy dwóch zaufanych mi wiarusów, kazałem go wziąć między siebie, cugle od jego konia odebrać i powiedziałem mu, że za najmniejszym podejrzanym znakiem, jaki by wydał, kulą w łeb na miejscu dostanie. Obiecałem w końcu sowitą nagrodę, jeśli się dobrze i wiernie sprawi. Na tem poprzestał zupełnie. Żałuję najmocniej, że nie pamiętam nazwiska tego człowieka.

Idziemy więc naprzód, mijamy nasze grangardy i wedety, dochodzimy do lasu już w dzień mi znanego. Zatrzymałem oddział, posłałem po oficerów od piechoty i mówię im: „koledzy, póki pole, kawalerya na przodzie, wchodzimy w lasy, wasza rzecz przewodniczyć". Łubieński chciał oponować, ale musiał uledz, tem więcej, iż zapowiedziałem, iż będę z nim i przewodnikiem szedł u szpicy oddziału, tak też się stało. Przewodnik po niedługiej chwili skręcił w lesie z traktu na lewo wązką drożyną. Jeszcze ciemniej się zrobiło, gałęzie drzew co chwila biły w oczy, mianowicie mnie, bom na wysokim siedział koniu. Fajek zakazałem palić, postępować wolno i bez rozmowy. Deszczyk mżył ciągle.

Ileśmy czasu tak szli, jakiemi drożynami, pełnemi wyboi i korzeni, to obliczyć trudno: pewna jednak, żeśmy maszerowali ciągle jakie godzin trzy, raźnie kołując, nic przed sobą prócz ciemności nie widząc, a uchem tylko chwytając miarowy krok piechoty, a za nią czasami odzywała się podkowa szasserów o kamień uderzona. Wyznam, że mi się przykrzył ten bezwiedni, ciemny i tak długi pochód, gdy człek do człeka mógł zaledwie zaszeptać, jeden drugiego czuł, a nie widział. Porucznik Łubieński klął na czem świat stoi, półgłosem narzekał, że zziąbł i przemókł, że go już nogi bolą, potykał się ciągle. Poradziłem mu, aby się trzymał długiej grzywy mego konia, co też uczynił, a w duchu śmiałem się z niego. „Poruczniku, mówiłem, powiedziałeś, że piechota zrobi swoją powinność..." to czyń że ją... Badany przewodnik upewniał, że nie błądzi, zdawał się być pewny siebie w tym labiryncie drożyn leśnych i upewniał, że już niedaleko.

Jakoż, niedługo las zaczął się przerzedzać — po chwili weszliśmy w zagaje — nagle przewodnik mnie zatrzymał, oddział doszedł do szpicy, wszystko stanęło.

Rozpatrzywszy się, ujrzałem się na brzegu lasu, a na początku jakiegoś pola. Pole to, ile można było w ciemnościach rozpoznać, podnosiło się w dali. Przewodnik namówił mnie, iż zo-

stawiwszy oddział, wolno i cicho postąpiłem z nim na wzgórze. Jakiż widok!...

Oto znajdowałem się na kilka staj wgłąb uważając, po za prawem skrzydłem wyciągniętych obozów rossyjskich, tem się odznaczających, że w tej późnej godzinie gdzie niegdzie jeszcze słabe światełka dopalających się ognisk błyszczały. Obeszliśmy więc w koło obozy Rossyan manowcami, a linia ich rozciągała się daleko i szeroko, prostopadle do wzgórza, na którem stałem. Były to obozy pod Trzebuczą. Stanęliśmy u zamierzonego celu.

Kiedym z uczuciem prawdziwego zadowolenia rozpatrywał to położenie, nagle z dala na prawo koń obcy zarżał... Ściągnęliśmy cugle swoim, by się nie odezwały i nas nie zdradziły... Poczuł koń konie, ale choć czujny żołnierz na wedecie stojący, nie pojął instynktu zwierzęcego. Była to po za obozowa tylna straż nieprzyjacielska, o jakie dwieście kroków odemnie stojąca. Na prawo las nieco kolanem się załamywał: wpatrzywszy się w to miejsce, gdzie się koń odezwał, zdołałem porachować rzadkie już ale jeszcze wysokie drzewa i ich wierzchołki — powróciłem do swoich. Z oficerami nastąpiła krótka narada, przypomniałem hasła nasze na tę noc wydane, któremi były „Wieniec“ i „Warszawa“. Zaleciłem, aby piechota gęsto się rozsypała po nad brzegiem lasu, na który zwycięzca lub pobity cofać się będą. Nakazałem w razie poznania i pogoni za mną, gęstym ogniem ją przywitać. Nakoniec zaleciwszy żołnierzom cicho dobyć pałaszy, frontem wstąpiliśmy na owe wzgórze pola, a przewodnik przy mnie. Na wzgórzu przystanęliśmy nieco... I znów koń pod krzakami w dali zarżał. Już nie było wątpliwości; cichą stępą posuwamy się pod nieprzyjacielską wedetę — nie upłynęło kilku minut, gromki głos o kilkanaście kroków wykrzyknął: „Kto idiot?“ Odpowiadam „swoj“; „szto za swoj“? — a ja z ruska „patruł“: a on „katoroho połka?“ — nie wiem zkąd mi przyszło na myśl odpowiedzieć: „Oleopolski gusarski połk“ — a coraz bliżej pod wedetę. Ale kozuń, bo to on był, poznał nakoniec zdradę, lecz za późno!... Wystrzelił z janczarki, konia nawrócił, nakrył się burką, głowę schylił na karku swej szkapy i dalej w nogi... Już siedziałem na nim, szassery za mną — dałem mu w tej gonitwie kilka cięć pałaszem, ale go burka zasłaniała. Tyle było dobrego, że uciekając, sam nas zaprowadził na kolumnę obozującą.

Wszystko to się działo wciągu kilkunastu sekund: inne wedety strzał pierwszy w tej chwili powtórzyły, dla zaalarmowania swoich obozów.

Teraz wyobrazić sobie trzeba, jaką być mogła ta nawalnica, ten silny i niespodziewany napad trzydziestu dwóch mężnych, na dzielnych siedzących koniach żołnierzy, na to obozowisko bocznego skrzydła Moskali, a pułku Czarnomorskiego kozaków.

Szwadrony ich stały tyłem do nas napadających, w małych od siebie odstępach: spisy kozackie utknięte w ziemię przed końmi, kozacy pokotem leżeli, śpiąc przy dogorywających ogniskach, z zupełnem bezpieczeństwem, bo obóz ich był na tyłach i mieli inne wojska przed sobą. Konie z torbami u pysków roztrenzlowane, a uwiązane do palików w ziemię wbitych. Pierwsze nasze uderzenie, wykonane w całym pędzie koni, stratowało głęboko część tej im kolumny, słabe konie kozackie powywracane, rzucały się splątane, jeszcze większy nieład i zamieszanie sprawiały. Kozactwo zgromione i przerażone, chowało się za końmi, umykało pod ich brzuchami... a dzielne moje szassery rąbią, że aż słychać było głuche zadawane cięcia, a za każdem jęk bolesny. Dodajmy: że to była noc, noc ciemna — kozaki nie wiedzieli, gdzie się obrócić, jaka ich siła napada.

Lecz przednia część tej kolumny dorwała się janczarek, zaczęła gęsto strzelać do nas bez żadnego skutku: moi żołnierze rozsypują się, to pojedynczo to kupkami, tracę ich z oczu w ciemności: sam z trębaczem Rejchertem stępo po tym pokaleczonym tłumie postępuję. W tem zagrzmiało działo... za niem wystrzał drugi... trzeci gdzieś w dali... na całej linii ognie obozów zgaszone — słychać głosy komend, krzyki, trąbki odzywowe... słowem alarm we wszystkich obozach.

Posuwam się naprzód mijając ogniska — napotykam szałas obozowy, przed nim kozak trzyma konia białego, a jakiś oficer nań siada. Schwytałem go na tej pozycyi, kiedy prawą nogę przekładał górą przez kulbakę, zawieszony lewą na strzemieniu: w tej chwili dałem mu silne cięcie po karku, a mój trębacz wpakował mu w bok pałasz po samą rękojeść: padł na miejscu z jękiem, koń uciekł, a kozak klęknął, oddał mi swój pałasz i pistolet z za pasa. Byłem tak nierozsądny, żem z konia wziął go za lufę... on zaś taki głupi, że mogąc, nie położył mnie trupem, ale przelękniony, schwycił się mego strzemienia wołając: „pamiłuj!... pamiłujtie!...“ i już mnie nie odstąpił. Spytałem go, co to za oficer, któregośmy ubili? odpowiedział, że major Pietrassow.

Rzeź ta i rąbanina trwała już od kwadransa, może i więcej, kiedym postanowił ją skończyć. Kazałem trębaczowi zatrąbić zbiór. Kiedy ten sygnał się rozlegał, słyszę po mojej lewej stronie silny

tentent koni: mocny jakiś oddział wyciągniętym galopem się zbliża, przed nim dowódzca; ten mijając mnie o kilkanaście kroków, pali do mnie raz i drugi z dwururnego pistoletu i umyka naprzód po linii obozów, oddział za nim: mogli mnie wziąć, tylko rękę należało wyciągnąć.

Ale wnet moje wiarusy zaczęli się zbierać, robi się koło mnie tłum ludzi i koni, poznaję swoich, otaczających stadko zdobytych koni i pieszego kozactwa co nie miara. Znając moich po nazwisku, wołam: „ten jest?...“ „jest“ — odpowiada — „a ów jest? Obliczcie się!...“ Bóg dał, byli wszyscy.

— „Dalej zuchy za mną, pilnować koni i niewolnika!“ Zjawia się i przewodnik. „Daliśmy im łupnia, tym zbójom, poruczniku!.. ośmiu mię rabowało, ośmiu też zrąbałem!...“ Ruszamy — wchodzimy na jakąś grobelkę wierzbami wysadzaną, któryś woła: „a to co?...“ inni przystanęli, a mój wachmistrz: „Panie poruczniku! gruszki na wierzbach!...“ Spojrzę, coś czernieje między gałęziami, a to kozacy schowani... dalejże sięgać po nich, tu jeszcze siedmiu ich wzięliśmy.

Idziemy pospiesznym krokiem, za nami ciągłe krzyki i strzały, niedługo też las zaczerniał, podchodzimy tłumnie, a tu na szerokiej linii błysły strzały, nasza piechota wali do nas z karabinów, kulki tylko świszczą w powietrzu. Wołam: „swój! swój!...“ nie pomaga, więc daję ostrogi koniowi i dopadam do lasu. Tu nas poznają, ogień ustaje, moje szassery nadchodzą. „A gdzie oficerowie?“ — pytam — nie wiedzą... jadę po linii, nie znajduję!... nareszcie trafiam na sierżanta, i znów: „Gdzie oficerowie?“ ten się zbliża do mnie i po cichu odpowiada: „Panowie oficerowie w przekonaniu, żeś porucznik z oddziałem wzięty, rozkazali nam cofnąć się w lasy, jedni ich usłuchali, inni ze mną na ochotnika tu pozostali, a jest nas ze czterdziestu.“

Skląwszy tchórzów od wszystkich rejmentów dyabłów, wołam przewodnika. „Słuchaj, mówię, lasami nam wracać nie podobna, po tej ciemnicy połowa nam niewolnika ucieknie — co robić?...“ „Panie oficerze, odpowiada: rżnijmy się przez wieś, wiem drogę.“ — „Więc naprzód!... prowadź!...“ Zebrana piechota, opłotki nam w jednej chwili rozgrodziła, wchodzimy między stodoły i chałupy, skręcamy w prawo, tu drożyna — za kilkanaście kroków most na jakimś strumieniu czy rowie, ale dyle ściągnięte na naszą stronę. Dwudziestu piechurów wnet ułożyło na ligarach pomost, ale kozactwo piesze i konne już nas dogania ciągle strzelając. Ledwie zdążyliśmy ów most przejść, przeprowadzić konie i niewolnika

kozaki tuż, ale ów sierżant wiedział co robić, przyjął ich rotowym ogniem, by poznali, że tu jest i piechota — więc się cofnęli — znów z dylami robota — w minucie most zdjęty, dyle rozrzucone, a my naprzód.

W tym odwrocie opatrzność boska i znajomość miejscowości dzielnego przewodnika nas prowadziła. Puściliśmy się w pola, ciemność nas zasłaniała, już nie spotkaliśmy nikogo, bo zewnętrzne wedety obozu Rossyanie na ten alarm cofnęli.

W tych kilku kwadransach, trzy razy mogłem być zabity: raz od kozaka, który po zabiciu majora podawał mi pistolet: drugi, przez oficera, który pędząc z swym oddziałem, dwa razy wypalił do mnie o kroków piętnaście; trzeci, od własnej piechoty, która strzelała do nas z pod lasu. Trzy dobre szanse, to wiele szczęścia.

Po dobrej godzinie marszu, zasłaniani ciągle przez piechotę, idąc ciągle wolnym krokiem, napotykamy oficerów Łubieńskiego i Dobrzelewskiego z resztą ich oddziału, już na trakcie stanisławowskim. Jak się tłómaczyli z swego postąpienia, już na to nie zwracałem uwagi, powiedziałem tylko Łubieńskiemu: „Kolego, nie wypełniłeś swej powinności!...“ Zaleciłem wzmocnić jeszcze naszą aryergardę i łańcuchem otoczyć nasze boki i niewolników.

Jeszcze jakiś czas marszu... gromki głos odzywa się: „kto idzie!“ — poznaliśmy się wnet. Była to cała kompania piechoty z kapitanem, którą generał Kamiński za las wysunąć polecił dla rozpoznania, boć w Mińsku słyszano dobrze nasz bój i dawane salwy armatnie. Pod taką eskortą, która łącznie z oddziałem Łubieńskiego, przeszło 400 ludzi liczyła, można było być spokojnym i bezpiecznym. Wchodzimy w las i na trakt, którym wczoraj przechodziłem: piechota po obu stronach gęsty łańcuch tworzyła, idziemy więc wolno i wesoło, gwar w szeregach, wiara ćmi fajki; zdobycz, choć już szarzało, jeszcze nie rachowana.

„No, szassery! — zawołałem na swoich, — zaśpiewać teraz, jak to umiecie!...“ Organizują się śpiewacy, a wiedząc com lubił, głośnem ale rzewnem pieniem rozległa się po lesie owa sławna „Warszawianka“, o której nic nie wie obecne nasze pokolenie!... a w niej te ustępy:

O Francuzi!... czyż bez ceny
Rany nasze dla was są?...
Z pod Marengo, Wagram, Jeny,
Drezna, Lipska, Waterloo?

Świat was zdradzał, my dotrwali,...
Śmierć czy tryumf, my, gdzie wy!...
Bracia! my wam krew dawali,
Dziś wy dla nas nic prócz łzy?!...

Grzmijcie bębny, ryczcie działa,
Dalej dzieci w gęsty szyk!
Wiedzie hufce wolność, chwała,
Tryumf błyska w ostrzu pik!
Leć nasz Orle — w górnym pędzie,
Sławie, Polsce, światu służ!...
Kto przeżyje, wolnym będzie,
Kto polegnie, wolny już!...

Hej, kto Polak, na bagnety... etc. etc.

Za lasem pola — już była ranna godzina, bo w dali światełka w Mińsku gdzieniegdzie migotały. Poznały nas po hasłach nasze forpoczty i grangardy, przepuszczają winszując powodzenia. Wstępujemy w miasteczko, stajemy przed kwaterą generała Kamińskiego, okna wszystkie oświecone, wypada adjutant Schendel: „Sierawski jesteś!...“ — „Jestem“ — odpowiadam. Skoczył i uścisnął mi rękę. „Wiesz — ani generał, ani my tu wszyscy oka nie zmrużyliśmy, licząc strzały armatnie i inne za lasem dawane... toć tam chyba istotna bitwa była! Generał był bardzo niespokojny o ciebie, bo jakaż to odpowiedzialność przed twym ojcem, gdybyś zginął, lub cię wzięli!... Ale z konia mój dzielny rycerzu, idźmy do generała.“

Idę — za mną się tłoczy nieodstępny mój przewodnik; generał otworzył ramiona i uściskał mnie gorąco.

— „Zdróweś? — nie ranny?“ — „Jak mnie widzisz, generale“ — „A wieluś ludzi stracił?“ — „Nie straciłem ani jednego żołnierza, koń tylko ranny jeden — niewolników nie rachowałem, koni dosyć zdobyliśmy“.

Zapalono latarnię — generał wyszedł, my z nim, nastąpiło obliczenie; koni było 26, kozactwa 29 — kilku pałaszami poznaczonych.

Generał dziękował moim szasserom, a oni wąsy pokręcali. Wachmistrz w ich imieniu prosi, abym kozactwo po kieszeniach pozwolił zrewidować. — „A cóż to, zapominacie, — rzekłem. —

że wy gwardya?" — Zabroniłem, a później żałowałem, jak opowiem. — „Konie zdobyte — mówię — są moje, siodła i mantelzaki wasze... podział w obozie... Dziekoński!... ruszaj do pułku, powiedz, że wracamy.“

A panowie Łubieński i Dobrzelewski?... mieli tyle wstydu, że nawet do raportu przed generałem nie stanęli.

Wróciwszy do kwatery, Kamiński kazał mi opowiadać wszystkie szczegóły wyprawy. Wyznam sumiennie, iż chciałem zasłonić od odpowiedzialności dwóch owych oficerów, ale obecny przewodnik, ośmielony powodzeniem, wysuwa się z za mnie i mówi:

— „Jaśnie Wielmożny Generale!... udało się, ale za mało się udało. Gdyby oficerowie od piechoty nie stchórzyli, albo bylibyśmy cały pułk kozactwa wzięli, albo ich w pień wyrżnęli, ale i tak dosyć mięsa było. Pomściłem się JW. generale!" — dobył pałasza i istotnie krwią był zbroczony.

Tu generał zwrócił się do mnie, a widząc moje zmieszanie, surowo rozkazał prawdę wypowiedzieć, — nie było rady.

Po wysłuchaniu mego raportu, Kamiński rozkazał mi kask zdjąć, pałasz odpiąć i usiąść: przewodnikowi wyliczył na dłoni dwadzieścia dukatów złotem, ja mu jednego konia ze zdobytych darowałem; piechocie zlecono, aby poszła do obozu, moi pozostali otaczając jeńców.

Wniesiono wódkę, jakąś pieczeń zimną, parę butelek czerwonego wina — wnet i samowar zakipiał — ach! jadłem też i piłem... a generał kazał sobie ciągle opowiadać i jedno powtarzać — zrywał się z krzesła, chodził po izbie, brząkał ostrogami, a swoje sławne i ulubione „ramtiti“ co chwila wypowiadał. Było to jego przysłowie, czy w gniewie czy w wesołości. „Panie generale, — kończyłem — gdyby zamiast moich 30 koni, poszedł cały szwadron, sprawilibyśmy kozakom taniec wyśmienity.“

Tymczasem już się rozwidniło. Schendel raport do generała Łubieńskiego ukończył — pięćdziesiąt koni Krakusów stanęło przed dworkiem, zabielały białe sukmanki jak stado gęsi, wszedł oficer. Generał kazał mu jeńców odebrać, konie mi zostawić, raport oddać generałowi Łubieńskiemu, dowodzącemu korpusem pod Mińskiem. Wyszedłem z oficerem i w jednej chwili z nim się ułatwiłem. Wyszedł jeszcze generał przed dom, jeszcze raz winszował powodzenia, żołnierzom dziękował, coś pokazał na mych piersiach, czego na razie nie zrozumiałem, podał rękę i pozwolił odmaszerować. Na koń więc! konie kozackie zabieramy i idziemy ku rynkowi miasta.

Pułk stał na koniach w kolumnie, bo już go ułany zluzowały. Skorośmy się z ulicy na rynku pokazali, muzyka pułkowa zabrzmiała „generał marsz“ na nasze powitanie, a sześćset wiarusów wykrzyknęło: hurra!... Dreszcz rozkoszny przebiegł po mnie, bo to był honor niezwykły, a może i za wielki. Podskoczyłem do pułkownika Zielonki; salutując, zdaję krótki raport. „Dziękuję, poruczniku, odezwał się głośno — dziękuję w imieniu całego pułku i wam dzielne szassery, dodaliście chwały więcej naszemu pułkowi. Panie kwatermistrzu Ciechanowski! żołnierzom tego plutonu dać podwójną racyę wódki, mięsa i sucharów — koniom podwójny furaż“. A zwracając się do mnie: „porucznika proszę na obiad do mego baraku“.

Nastąpiły uściski oficerów sztabowych i kolegów moich. Przerwał je pułkownik komendą: „szóstkami od prawego! lewe ramię naprzód! stępa marsz!“ Muzyka kopnęła się na czoło, przed nią adjutant Tomkowicz i brzmiały wesoło trąbki!... Minęliśmy miasteczko, dalej po za obozy generała Łubieńskiego, stanęliśmy nad ruczajem, zsiedli z koni, gwar zwykły się rozpoczął pomiędzy żołnierzami, wielu zbiegło się do moich na opowiadanie, a było co słuchać. Po chwili już dymiły się ogniska, szassery wodę nosili kociołkami do gotowania strawy: przyszedł do mnie mój kapitan Kosko, wycałował, „dobra krew, dobra — wołał — w tobie — chwała ci... godnyś twego ojca.“

Jam padł jak nieżywy ze znużenia, a oparłszy głowę pod krzakiem o terlicę kozacką, zasnąłem twardo.

Żałuję najmocniej tych, co nigdy obozu wojennego nie widzieli, a jeszcze obozu zwycięzkiego wojska. Według mnie, nic więcej uderzającego, wszystkich na raz zmysłów zgromadzić nie można. W dekoracyach ujrzysz żywe i prawdziwe niebo z swym błękitem i lekko przesuwającymi się białymi obłokami — las zielony i wonny, w różnych kształtach rysujący swe drzewa — tu zielona łąka nad wijącym się strumieniem, dalej rozległe pola pagórkami falujące — a nad tą pyszną i prawdziwą naturą, zwolna przesuwa się wspaniała słoneczna gwiazda. To nie płótno malarza krajobraz wyobrażające, to obraz rozległy, perspektywa nieskończona, jak ją tylko okiem dosięgnąć zdołasz. Na ziemi, na szczupłej jej przestrzeni i na pierwszym planie widoku, mrowie ludzi, z twarzy, z ruchów, mundurów sobie podobnych — tu tysiące koni i łyszczącej się broni, tam armaty w liniach wyciągnięte o zielonych lawetach, ze spuszczonemi paszczami, wycze-

kujące połknięcia morderczego naboju — wszystko niby bez porządku, a pełne jednej harmonii. W odstępach kurzą się ogniska, dym wznosi się do góry... ten dym, którego dziwne kłębowania się malarz usiłuje wnieść na płótno, aby ożywił widok ludzkiego mieszkania — martwym on jest w obrazie, tu jest on żywy, buja swobodnie pod wiatru powiewem, rozpływa się w przestworzu i wkońcu niknie. Niemasz tu mieszkań, ale jest życie pod jasnem niebem, silniejsze jak gdzieindziej — to nie wieś ani miasto... to obóz ludny, gwarny, wesoły, ruchliwy — stań na jego krańcu... przestrzeń pól niezmierzonych przecięta drogami, połamana pagórkami — na ich niskich i wyższych czołach stoją nieruchomie jakieś w dali czarne punkciki niby postacie... to wedety i straże zewnętrzne.

Gdy ciemna noc zapadnie, odmienny widok zupełnie. Silniejsze ogniska się palą, łuna nad całym obozem — nie pożar, ale wielkie świeczniki bez dachowych mieszkań żołnierza. Już on się nasycił strawą, gromadzi się do ciepłego a tyle wesołego żywiołu — tu wypoczywa, szuka rozmowy z towarzyszami — słucha opowiadań lub je udziela — o czem?... o niczem innem, jak o bitwach, w których był czynnym, a przeżył bez kalectwa... o swych dowódzcach, których postępowanie w ogniu, obroty nakazane najtrafniej niekiedy przesądza. Energiczne to są wysłowienia żołnierskie, jędrne, zwięzłe, czasem klątwą przeplatane. Nie inna jest też treść owych gawęd nocnych, bo żołnierz zapomina o świecie, póki sen ożywczy powiek mu nie zamknie. Wonczas układają się ciasno, głowę jeden na drugim wspiera lub na tornistrze — zasypiają spokojnie, nie myśląc o jutrze.

Niechże wśród tego snu dadzą się słyszeć odległe strzały wedet, powtórzone w obozie trąbą alarmową, wystrzałem z działa: zrywają się te tysiące wnet trzeźwi, przytomni — porywają za broń, te drugą ich siłę, i wnet na głos dowódzców stają w szeregu, stają się machiną posłuszną jednemu głosowi, jednej znanej im woli.

Ileż to razy przechodziłem się rozmyślnie po obozie, aby się napatrzeć tyle dziwnemu ułożeniu się tych tysiąców w jeden obraz, szanujących każdą minutę danego im wypoczynku, a niewiedzących co za jej upływem nastąpi... Tu życie, istnienie jest niczem: rachuje je niewidomy wyrok godzinami, bo każda z upływających jest dla kogoś ostatnią... A mimo tego ten, którego ciało na zawsze już zastygnie przed słońca zachodem, w tej chwili karmi je jeszcze zgłodniały i odcina się żartem temu co mu prze-

szkadza. To inni ludzie, inną naturą obdarzeni od tych na których co dzień patrzymy.

O panowie filozofowie! którzy dowodzicie, że moje „ja“ jest przedewszystkiem... przyjdźcie tu studyować człowieka, nie tak głęboko rozumującego, nie takiego, z jakim codziennie obcujecie, ale takiego, co się zaparł sam siebie i poświęca się dla dobra innych.

O piękne panie!... którym zdaje się, że nam, mężczyznom wasza opieka jest konieczną i niezbędną... Pójdźcie tu zobaczyć, jak ten wąsaty żołnierz strawę sobie gotuje bez waszej pomocy, jak pierze swą bieliznę w mule błotnym bez mydła, jak igłą obraca naprawiając usterki munduru, jak pilnuje ochędóstwa około siebie, chociaż nań nie patrzycie!... a widząc to, co tylko w obozie widzieć można, skłońcie głowy przed mężczyzn wyższością.

Tak, druga połowo rodu naszego!... Dziękujemy Stwórcy, że was obok nas postawił, ale nam tylko waszych uczuć, waszego serca potrzeba.

Idźmy do galeryi obrazów. Tu krajobraz wspaniały jasnem słońcem oświecony — tu scena rodzajowa, żywo rodzinę przedstawiająca — dalej płótno wyobrażające młodą dziewicę uroczej piękności, o jasnem oku i włosie, z niezapominajką w ręku, a ta słodko się do widza uśmiecha i napełnia go słodkiem uczuciem. Patrzymy, chwalimy... ale cóż to za tłum tam się ciśnie? idziemy — to obraz srogiej bitwy ze wszystkiemi jej fazami, które zdolny artysta schwycił z natury, lub zdołał wiernie sobie wyobrazić. Powiedzcie mi, dla czego ten tłum, co nigdy bitwy nie widział, co nigdy oglądać jej nie będzie, tu się długo wpatruje, wtajemnicza w jej dzieje, rachuje zadawane razy, wnet odróżnia zwycięzcę od zwyciężonych — zapala się, przyklaskuje, a odchodząc, duchem silniejszym się być czuje?

W pułku naszym należał do starszych kapitan January Suchodolski, adjutant generała Wincentego Krasińskiego. Już przed rokiem 1830 prace jego malarskie, mianowicie bitew, zasługiwały na odznaczenie. Ile pamiętam, piękne były płótna: bitwa pod Wielkiemi Łukami; dzielna szarża husarzy polskich pod Kircholmem; przedstawił też obraz przejścia Francuzów pod Berezyną; bitwę naszych przy oswobodzeniu Wiednia od Turków; ostatnią szarżę księcia Józefa Poniatowskiego pod Lipskiem i wiele innych. Znałem go z blizka, był tylko ochotnikiem przy naszym pułku w wojnie r. 1831; chodził po obozie z teką i ołówkiem, a gdzie tylko dojrzał grupę żołnierzy i koni (a te dobrze malował), szcze-

gólnie ułożoną, chwytał do swego albumu, z czego się utworzył znaczny i śliczny rodzajowy zbiorek. Po wojnie pozwolono mu wyjechać do Włoch. Bawił tam lat kilka i sam mi opowiadał później, że za małe szkice, czerpane z owego albumu, wziął od włoskich amatorów przeszło 30.000 franków, a za większy obraz 6000 fr. Byłem i ja w tem albumie, schwycony w osobistem spotkaniu z Czerkiesem pod Nadborami.

Według mnie, mało jeszcze o wojnie, a głównie o żołnierzu powiedziano i napisano. Obok innych prawie z gruntu dotkniętych, rozleglejsze myśli i zastanowienia wyczekują właściwej odsłony. W czasie pokoju, nazwano żołnierza pracowitym próżniakiem; trudy jego wojenne i poświęcenia dotąd słabo określono. Pisano wiele o męztwie, o chwale nabytej przez te lub owe wojska, są to tylko ogólniki: nikt tego najszczytniejszego powołania nie zbadał — dlaczego? historycy piszą dzieje wojen w wygodnem swem mieszkaniu, dowódzcy o swych czynach, między żołnierzami dotąd pismaka nie było.

Nawet wysłowienia i język wojenny, jest inny od zwyczajnego. Kiedy Napoleon w czasie bitwy pod Piramidami w Egipcie rzekł: „Żołnierze!... czterdzieści wieków na was patrzy“!... kilkanaście jego batalionów, spieczonych pod skwarnem słońcem tej sfery, rzuciło się na pięćkroć liczniejszą a sławną jazdę Mameluków i rozbiło ją ze szczętem. A wieleż takich myśli tyle szczytnych, usta innych wodzów już dotąd wypowiedziały!...

Tak — czyny i mowa wojenna, jest inną od zwyczajnej; ta mowa jest krótką jak grom, czyny zdwajają się w sile pod wolą osobistą, przemówienia wodza je potęgują: pierwsze szybkie, jak piorun, drugie — w uroczystych tylko chwilach wywołuje natchnienie.

I znów pytam, dlaczego? Oto dla tego, że są wygłaszane w obec widoku śmierci, tej niszczącej siły nad całą panującej naturą... Wtedy, gdy ona kościstą swą rękę po swe ofiary wyciąga. A gardzić nią, przyznajmy, że w tem podniesieniu ducha, to heroizm, to szczytność bohaterska, nieledwie nadludzka.

Prelekcye naszych uczonych, publiczne jakie bądź mowy, takiego wzruszenia, owładnienia nad całem naszem jestestwem nigdy nie wzbudzą.

W czasie bitwy, podnosimy ducha prostego żołnierza słowem, gestem, przykładem. Idzie on i daje się zabijać, przysypią go ziemią, wykreślą z kontroli pułku i na tem koniec jego na tym świecie istnienia.

Zwycięzca, pod którym służył, w swym biuletynie ogłasza: „straciliśmy w zabitych pięć, sześć lub więcej tysięcy“, a nazwiska giną w tych cyfrach zapoznane. Opłakują ich później ojcowie, bracia, siostry, może i żony — a szczątki ich pruchnieją gdzieś daleko od rodzinnej chaty...

Ocalałym w tym szerokim krwi rozlewie, monarcha lub wódz przesyła dziesięć lub więcej krzyżów zasługi; dumni są prawda z ich posiadania ci, co je otrzymali — inni milczą. Żołnierz taki czynnym był w wielu bitwach, przyłożył się do zwycięztw i chwały swego pułku, dywizyi, lub korpusu — wraca kiedyś kaleką pod swą strzechę, bez żadnej pamiątki swych trudów i poświęcenia! W jednej Rossyi inny jest porządek. Za osobiste odznaczenie się udzielają żołnierzowi krzyż wojenny Świętego Jerzego i niektóre przywileje — wszystkim innym, aż do ostatniego furgonisty, bo i ten jest potrzebny, pamiątkowe medale z odbytej takiej lub owakiej wojny.

I to jest słuszne, nawet sprawiedliwe.

Generał Józef Kamiński, pod którym służyłem od r. 1825 jako żołnierz i podchorąży w 4-tym pułku strzelców konnych do r. 1829, to jest do dnia mianowania mnie oficerem w konnej gwardyi, był wzrostu więcej jak średniego, brunet, o twarzy czerstwej i rumianej, silny w sobie, jeździec śmiały, lubił konie wierzchowe i miewał je zawsze dzielne. Ozdobiony był krzyżem Legii honorowej francuskiej. Za bitwę pod Grochowem dostał krzyż polski wojenny; wkrótce posunięto go na generała brygady. Odważny, trochę pasyonat, gdy się rozgniewał, nie było z nim rady ani żartów. Myśliwy, para chartów zawsze biegła przy nim w marszu. Gdyśmy po bitwie wielko-czwartkowej forsowali pozycyę Kostrzyna, piechota biła się na szosie, jazda nasza przeszła w bród Kostrzyn pod wsią Suchą, Kamiński z nami na przodzie, za rzeką kawalerya nieprzyjacielska stała opodal, w tem w polu pomyka zając z kotliny... Kamiński woła: hejdz go ha!... i sam za chartami z kopyta. Zając biegnie wprost na Moskali — generał tuż — musiano wysłać cały szwadron, by go zasłonić i wycofać, bo już flankiery nieprzyjacielskie go docierały. Postawił na swojem, bo zająca charty schwytały.

W bitwie pod Grochowem 25. lutego, kiedy, manewrując wśród boju, brygada nasza z Kamińskim znalazła się chwilowo w drugiej linii, pędzi z pierwszej na białym koniu oficer ku nam. Generał sądząc, że z jakimś rozkazem, podskakuje do niego, po-

znaje Antoniego K....skiego z pułku 2-go szasserów. „Stój! Antosiu — woła — co to jest?“ a Antoś, który był nawet jego powinowatym, osadza konia na miejscu i prawie nieprzytomny odpowiada: „Generale!... niech ich milion dyabłów weźmie, jak kulami strzelają!...“ Kamiński koniem natarł na niego: „a ramtiti! zjadłeś sam milion dyabłów! Cóż to chcesz, aby pierogami strzelali?...“ Zwrócił mu konia, dał kilka płazów po zadzie i zmusił biednego Antosia do powrotu na pierwszą linię. Buchnęliśmy śmiechem na całym froncie.

Zapisuję tu także, że oddział piechoty, który był ze mną na owej nocnej wyprawie, należał do pułku 3-go strzelców pieszych, dowództwa pułkownika Szmigielskiego. Porucznika zaś Łubieńskiego, nie należy zaliczać do rodziny hrabiów Łubieńskich, z której Tomasz był dowódzcą korpusu w r. 1831, brat jego biskupem, trzeci, Piotr znakomite urzędy sprawował w służbie cywilnej Kongresowego Królestwa, czwarty, Henryk był wiceprezesem Banku polskiego. Porucznik Seweryn Łubieński był synem patrona Trybunału w Suwałkach, czy też w Augustowie.

Wracam do przerwanego opowiadania. W czasie snu mojego, szwadrony 1-go i 2-go naszego pułku, odbywały dzienny rekonesans na wieś Trzebucze, posiłkowane przez pułk konnych Mazurów. W Trzebuczy i na całej linii Rossyanie już się nie znajdowali; zwinęli do dnia swe obozy, cofając się ku Kałuszynowi. Badane włościanki miejscowe, bo wszystkich chłopów zajęli na furmanki, zeznawały, że mnóstwo rannych z nocnego napadu uwieziono podwodami.

Dnia 1. i 2. maja nie zmienialiśmy pozycyi. Dnia 3-go generał Łubieński dawał obiad dla wszystkich dowódzców swego korpusu, a to na pamiątkę konstytucyi tęż historyczną datę noszącej, którą Sejm r. 1791 postanowił. Kiedy i my ten dzień u siebie wedle możności świętujemy, adjutant Łubieńskiego przybywa, szukając mnie i powołują do sztabu: siadam na konia i jadę.

Starszyzna nasza już była po obiedzie. Kielichy tylko jeszcze krążyły: dwie muzyki na przemian wygrywały narodowe pieśni. Gwarzono o wojnie, o wielkim cesarzu, o obecnych nadziejach, Sejmie nieustającym, Towarzystwie patryotycznem, któregośmy w wojsku nienawidzili i o jego klubie. Jam wszedł, a wiedząc, że to nie służba, zdjąłem kask i czekam. W tem Kamiński mnie dojrzał, posunął się do generała Łubieńskiego, ten się zbliżył do mnie w towarzystwie jakiegoś smagłego blondyna w okularach, w adjutanckim mundurze sztabu naczelnego wodza, i mówi: „po-

ruczniku: naczelny wódz, w uznaniu twej zasługi, przysyła ci przez księcia Sapiehę (wskazał na adjutanta) krzyż polski i patent nań. Jest to znak pasujący cię na rycerza, a my starzy żołnierze, co go od dawna nosimy, jesteśmy od dziś twymi kolegami!“

Kamiński przypiął mi krzyż do piersi i wetknął patent w rękę. Wyznam, żem oniemiał ze wzruszenia... Milczenie przerwał adjutant wodza, odzywając się po francusku, bo w sztabie głównym, gdzie sami książęta i hrabiowie Skrzyneckiego otaczali, niemal tego języka używano:

„*Monsieur Lieutenant! je Vous félicite... Vous avez bien merité cette Croix — et même reparé vôtre faute, que vous avez comise le jour du 30. avril.*“ Widać, że był poinformowany o mojej dziennej w owym dniu burdzie z kozakami.

Lekko skinąłem głową, a zaczerwieniwszy się, odrzekłem: „*Merci, mon Prince! dans un cas pareil, faites mieux si Vous le pouvez!...*“

Uśmiechnął się Kamiński; mój pułkownik Zielonka przystąpił z kielichem wina, wypił do mnie. Jam podniósł podany do góry, z toastem na cześć wojska polskiego i naczelnego wodza. Pomału wysunąłem się z pokoju, dopadłem konia i jednym pędem stanąłem u swoich.

Czekali na mnie koledzy — szczerze winszowali... nie mogłem mówić... Ten krzyż, krzyż polski wojennej zasługi, to ziszczone me marzenie, kołatał mi na piersi z biciem serca mego. Urosłem w jakąś szlachetną dumę.

Dnia 6. maja przybył z furgonami z Warszawy, z żywnością i furażami dla pułku, kwatermistrz Ciechanowski; doręczył mi 1.100 zł. polsk. za sprzedane konie kozackie, które mu powierzyłem i Nr. 120 *Gazety Polskiej* z dnia 5. maja, a w nim raport naczelnego wodza Rządowi Narodowemu złożony. W tym, po opisie bitew z dni 25. i 26. kwietnia, znajduje się ten ustęp:

„Po potyczce pod Mińskiem, zająłem stanowisko pod Dębem, gdzie oczekiwałem nieprzyjaciela i postanowiłem przyjąć bitwę, którą tenże, jak się zdawało, chciał wydać, niepodobna bowiem wytłómaczyć tego zaczepnego poruszenia, które z całemi swemi siłami wykonał, i które pod pozycyą Dębego miał nagromadzone.

„Tymczasem z dnia 29. na 30. kwietnia nieprzyjaciel rozpoczął marsz odwrotny. Nasze przednie straże postąpiły za nim i z różnych stron zabierają niewolnika. W nocy z 30. kwietnia na 1. maja porucznik Sierawski z 5. pułku strzelców konnych,

w trzydzieści koni obszedłszy pod wsią Trzebuczą obóz całego pułku kozaków, napadł nań z tyłu niespodzianie, część zabrał w niewolę, część trupem położył, reszta się w lasy rozsypała."

Numer owej *Gazety* włożyłem do ładownicy; nosiłem go przez całą kampanię, przebył ze mną wszystkie następne życia mego koleje i dziś po pięćdziesięciu latach mam go u siebie, zachowując jako relikwiarz i świadectwo wojskowego mego honoru i odznaczenia się. Bo też był to niezwykły wypadek, aby naczelny wódz w swym raporcie wspomniał o czynie niskiego stopnia oficera.

Oto jest kopia patentu na krzyż wojskowy:

Nr. 1.151.

Szef Sztabu Głównego

do

Pana Porucznika Sierawskiego Napoleona

Zawiadamiam Pana Porucznika, iż Naczelny Wódz siły zbrojnej Narodowej, zaszczycił Go ozdobą Krzyża Wojskowego Złotego, na którą patent w zwykłej formie później odbierzesz.

(Podpisano) Generał Brygady *Chrzanowski.*

W nocy z dnia 29. na 30. kwietnia, napadłem obozy rossyjskie: 2. maja w Jędrzejowie, datowany jest patent powyższy. Nie ociągał się więc wódz naczelny z przyznaniem mi krzyża. Tem chlubniej dla mnie.

Kapitał 1.100 zł. pols., wzięty za konie kozackie, z których najlepszego bieguna sobie pozostawiłem, użyłem jak następuje:

Trzydziestu moim wiarusom kupiłem w Mińsku tyleż butelek wina po 5 zpl.: tytoniu paczek 60 i trzy barany na rzeź.

U Czarnej Marysi, naszej pułkowej wiwandyerki, zakupiłem cały furgon prowiantów, który z Warszawy peryodycznie nam przywoziła: były tam szynki, wędzone ozory, pieczenie, porter, wina, wódka, chleb, bułki, a nawet wielka fasa przedniego bigosu. Zapłaciłem jej za to przeszło 500 zpl., a używaliśmy ze cztery dni tego bankietu. Resztę przegrałem w lanc-knechta, który jako nowość, był w modzie w obozie. Żołnierze moi po zrewidowaniu mantelzaków kozackich, znaleźli sporo porządnej bielizny, mundurów i potrzebnych żołnierzowi drobiazgów; w poduszkach

u kulbak zaszyte były pieniądze w złocie, srebrze i ruskich bumażkach, ale w niewielkiej liczbie, bo pułk czarnomorski odbywał w latach 1828 i 1829 wojnę turecką, a później był na strażach granicznych od Galicyi austryackiej. Najlepiej się jednak obłowili Krakusy, odprowadzający kozaków do Jędrzejowa. Z ich trzosów tyle nabrali pieniędzy w różnej monecie, tak potem pili i dokazywali, iż musiano im tę zdobycz odebrać i częściami wypłacać. Żałowałem, że się to moim nie dostało.

Wyjednałem nakoniec pięć krzyżów żołnierskich dla mego plutonu. Dostali je: wachmistrz Rajtarski, kapral Dziekoński, trębacz Rejchert; dwa ostatnie poszły na losowanie między żołnierzy. Pluton świecił krzyżami, a oprócz tej ozdoby był przywilej, bo żołnierz taki lub podoficer pobierał żołd podwójny: co większa — taką zyskałem reputacyę między żołnierzami w pułku, że gdybym w potrzebie krzyknął: „hej wiara! kto za mną pójdzie?...“ nie wiem już ilu by gotowych stanęło.

Ale nie koniec temu wszystkiemu. — 6. maja po południu, dobry mój przyjaciel, kapitan Gotardowski, przyszedł do mego baraku z dwoma oficerami pułku 3-go strzelców pieszych, owego pułku, którego oddział był ze mną na nocnej wyprawie. Jeden z nich, kapitan o szpakowatych już włosach, miał na piersiach krzyż Legii francuskiej: po wzajemnem przywitaniu się zabrał głos:

„Panie poruczniku! — raportem twoim zniesławiłeś dwóch naszych kolegów, obraziłeś również honor pułku. Fakt spełniony, cofnąć go nie podobna — przychodzimy więc w imieniu całego korpusu oficerów pułku 3-go strzelców, żądać od porucznika honorowej satysfakcyi.“

Spojrzałem na Gotardowskiego, ten mrugnął na mnie oczami, krótko więc odrzekłem: „przyjmuję wyzwanie, zastrzegam tylko, aby o niem wiedzieli nasi dowódzcy — wyznaczenia terminu oczekiwać będę.“

Skłoniliśmy się sobie grzecznie, oficerowie odeszli. Gotardowski podjął się zawiadomić o tem, co zaszło, pułkownika Zielonkę: upewnił mnie nadto, że jeśli przyjdzie do rozprawy, będzie mi sekundował. Kapitan Kosko również sam się w tej sprawie ofiarował.

Wnet rozeszła się ta wieść pomiędzy naszymi oficerami, głowy się zapaliły: chcieli wszyscy przeciw wszystkim stawać i splantować piechotę. Ale Zielonka ochłodził młodzież perswazyą i postanowił, że chociaż w czasie wojennym nie powinny mieć

miejsca podobne rozprawy, jeśli jednak nie będzie można uniknąć spotkania, nie odmówi przyzwolenia.

Czekamy przeto z Gotardowskim i Koską 24 godzin: kartel od piechoty nie nadszedł, siadamy więc dnia trzeciego na koń, bierzemy z sobą trzech szasserów i jedziemy do jej obozu.

Dojeżdżając, widzimy pułk 3-ci strzelców w kolumnach batalionowych, kaszkiety zdjęte, broń u nogi, kapelan przed pułkiem, bo już słońce zachodziło, odmawia wieczorną modlitwę, stajemy więc opodal, zsiadamy z koni i czekamy. Po niedługiej chwili, bataliony cofnęły się do biwaku a oficerowie otoczyli pułkownika Szmigielskiego do odebrania rozkazów. Tu czas było przystąpić — na nasze zjawienie się oficerowie zrobili nam miejsce, weszliśmy w środek a Gotardowski przemówił:

„Panie Pułkowniku! — Kolega mój Sierawski odebrał wyzwanie od korpusu oficerów tu stojących i wyzwanie to przyjął, lecz ja i kapitan Kosko, jako jego sekundanci, przychodzimy wyjaśnić tę sprawę, zanim krew tyle dla Ojczyzny droga przelaną będzie.“

Szmigielski odpowiedział: „pułk, którym mam honor dowodzić, stał dotąd garnizonem w Zamościu, i na żądanie jego to oficerów, naczelny wódz ściągnął go na linię bojową. Oddział jego pierwszy raz był w ogniu owej fatalnej nocy. Może bezwzględnem przeistoczeniem, postąpienie jego w innem świetle głównemu sztabowi zostało przedstawione... Cokolwiek bądź, oficerowie Łubieński i Dobrzelewski, wykreśleni zostali z kontroli oficerskiej pułku, z rozkazu naczelnego wodza. Nie jestem za spotkaniem, ale go nie zabraniam, zostawuję to zdaniu korpusu moich oficerów.“

Chciał się oddalić... Jakaś silna wola mną ogarnęła. „Za pozwoleniem, panie pułkowniku — zawołałem — raz jeszcze powtarzam, że wyzwanie przyjmuję, ale nie chcę być pod zarzutem zdania fałszywego raportu. Mam honor prosić o przywołanie sierżanta z owego oddziału, który mnie oczekiwał w lesie.“

W parę minut stanął młody człowiek o inteligentnym wyrazie twarzy.

— „Jeśliś żołnierz honoru, mówię, wyznaj prawdę i powtórz słowa, któreś mi powiedział w lesie, kiedym do ciebie przystąpił — wyznaj, gdzieśmy się połączyli z resztą waszego oddziału?...“

Zawahał się, ale naciśnięty przez Szmigielskiego i przezemnie, wyznał wszystko dokładnie — pułkownik skinął ręką, sierżant odstąpił.

Nastąpiło milczenie — nareszcie znów przemówił Szmigielski: „Panowie! Czarna plama zawisła na pułku!... ale ją w pierwszej bitwie zmażemy... pocieszajmy się tem, że ten podoficer i nasze strzelcy mężnie sobie postąpili, bo zasłonili odwrót szasserów; nie widzę przyczyny ani zasady do pojedynku... Panowie oficerowie, na swoje miejsca!...“

Salutujemy się wzajemnie i rozchodzimy. Innych skutków opisanego nieporozumienia już nie było. Zielonka był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Tegoż dnia doręczono mi list mego ojca. Donosił, że chwilowo jest w Warszawie, oraz że życzył sobie mnie widzieć. Generał Łubieński udzielił mi urlopu na 48 godzin. Dosiadłem mego kozackiego konia, na całą noc pojechałem i nad ranem byłem w Warszawie. Ojciec już wyjechał, wróciłem więc natychmiast; odbyłem konno przejażdżkę mil 18. W tym czasie pojawiła się w obozie cholera.

Dotąd dobrze się powodziło orężowi polskiemu; z kolei rzeczy tego świata nastąpiły klęski: Wyprawiając generała Dwernickiego na Wołyń, naczelny wódz wyraźną dał mu instrukcyę, aby prowadził to, co w technicznym strategii wyrazie nazywamy „małą wojną“. Zalecono mu nie wdawać się w znaczniejsze bitwy, nocami i bocznemi drogami posuwać się w głąb Wołynia, a w głównem zadaniu organizować rozległe w tamtych stronach powstanie. Lecz krewki generał, zaufany w dotychczasowem swem powodzeniu, oglądający się na popularność swego nazwiska, co dzień wzrastającą, popychany namowami licznych ochotników powstańczej młodzieży, szedł ślepo przeciw wypadkom bez rozwagi ich przewidywania. Na wstępie, przeszedłszy Bug, rozbił pułk dragonów rossyjskich pod Poryckiem, pobił generała Rüdigera pod Boremlem, chociaż ten przewyższające miał siły. Lecz gdy temu przyszedł w pomoc Krasowskij, gdy zgromadzili 17.000 piechoty i 2.000 jazdy, wyzywającego nierozsądnie do otwartej walki wpędzili do Galicyi. Na otrzymane wiadomości o awanturniczem postępowaniu Dwernickiego, posłał wprawdzie Skrzynecki szefa sztabu głównego, generała Chrzanowskiego, z silnym oddziałem piechoty, jazdy i artyleryi, aby go z trudnego położenia wycofać, lecz już było zapóźno. Klęska to była wielka i niepowetowana. Straciliśmy do 5.000 mężnego żołnierza, a co gorsza, upadło stanowczo powstanie Wołynia i Podola, które już się w siły groma-

dziło, a pobite w kilku miejscach, również do Galicyi wpędzone zostało. Jeden pułkownik Różycki, po trzydziestu dniach marszu ciągle niepokojonego, w których przeszedł sto kilkadziesiąt mil drogi, przyprowadzić nam zdołał trzy szwadrony wybornej jazdy i połączyć się z naszą główną armią. Zapisuję tu, że przy początkowej swej formacyi, jazda ta uzbrojona była jedynie w lance broniakami opatrzone i niemi małe nieprzyjacielskie oddziały gromiła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dziejów konfederacyi barskiej.

Teki Teodora Wessla, podskarbiego w. kor.

(1769—1772).

(Ciąg dalszy).

Później, gdy zmieniły się okoliczności, gdy Francya, wysyłając oficerów i zasiłki pieniężne dla konfederacyi, otwarcie popierać poczęła związek, — Wessel, jak to dalej widzieć będziemy, — powrócił do pracy około spraw publicznych, — tymczasem atoli, przez kilka miesięcy śledził tylko i rozważał rozwijające się wypadki, nie odzywał się publicznie, stosunki z Generalnością zerwał najzupełniej i wyczekiwał pory, aby módz wystąpić stosownie do raz nakreślonego programu, którego uparcie się trzymał, mimo wszelkich niepowodzeń i trudności. Z owego to czasu przechowało się w kopiach dużo listów Wessla do Lasockiego, przed którym wynurzał się otwarcie a poufnie ze swych planów i projektów. Tutaj, zawsze kładł nacisk na zapewnioną pomoc od Saksonii, która wedle jego zdania, wyczekiwała tylko, jakie stanowisko wobec Polski zajmie Francya. Dotychczasowe relacye Gomulińskiego z Paryża, wystawiały wprawdzie w różowem świetle nadzieje pomocy dworu wersalskiego, który ze swej znów strony, oglądał się na Austryę, szczególniej w sprawie detronizacyi Stanisława Augusta; de Mercy donosil z Wiednia o chwiejnym i wątpliwym w tym względzie poglądzie sfer dworskich wiedeń-

skich. Całą nadzieję pokładał Wessel na Durandzie, którego spodziewany przyjazd do Wiednia miał ożywić negocyacye w sprawach polskich. Z Drezna raz po raz wysyłano kuryerów do Paryża, gdzie odkładano z dnia na dzień wszelkie bliższe wyjaśnienia. „Wskutek tego wyczekiwania — pisał Wessel, — stajemy się ofiarami stronników Rossyi, i przewidywać można nowe zamieszki, wojnę domową, nowe spustoszenia i zupełną ruinę kraju, po mniemanem uspokojeniu, którem dwór się chełpi...“

Dużo razy wspomina Wessel w listach do Lasockiego o spodziewanem nawiązaniu bliższych stosunków Francyi z konfederacyą, liczył też wiele na przyjazd Duranda do Preszowa, — choć jak wiadomo dopiero w sierpniu Dumouriez przybył tamże. Ale ubolewał podskarbi, że przedstawione przezeń projekta upadły, ganił postępowanie Wielhorskiego w Paryżu, nie przywiązywał nawet wielkiej wagi do zadecydowanego już w Paryżu postanowienia, wysłania do obozów konfederackich pewnej liczby oficerów francuskich. „Bo — pisał dalej — cóż robić będą ciż oficerowie bez żołnierzy, — co znaczyć mają owi wysłańcy, skierowani tylko do Paca, który z Litwinami składa stronnictwo przeciwne koronnemu? Zostawiam Panu dalsze nad tem rozmyślanie, a ze swojej strony, choć życzę tym zabiegom najlepszego powodzenia, ale spodziewać się go nie mogę. Mówią jeszcze o projektach księcia (Karola), który dotąd przesiaduje w Monachium, oczekując co mu los przyniesie. Ale projekt jego, który tak piękne wróżył nadzieje w chwili gdy był przedstawionym, dziś z trudnością zapewnić by nam mógł korzyści, jakich po nim oczekiwano. Mnogość recessów i wstręt do związków konfederackich, okazywany przez naród, — dyktują mi powyższe słowa, — potrzeba nam czegoś więcej do rozbudzenia narodu, do podniesienia jego gorliwości i obalenia podstępnych intryg stronników Rossyi. Jednem słowem, bez pomocy wojska regularnego, bez wspólnego porozumienia co do wszelkich zarządzeń, nie podobna będzie doprowadzić spraw naszych do celu upragnionego. Saxonia, tak samo jak i my, jest w ciągłem oczekiwaniu — tak przynajmniej sądzę z jej milczenia...“

Od czasu do czasu odbierał Wessel listy z Drezna, w których uskarżano się na jego bezczynność. „Odpowiedziałem — pisze on do Lasockiego 11. lipca — że jak skoro usunięte będą okoliczności, które spowodowały moje usunięcie się od spraw publicznych, chętnie wezmę się do nich napowrót. Wszystko zdaje się

wróżyć, że niedalekim jest czas, w którym będzie można rozwinąć skuteczną działalność...“

Dotychczas Francyi tylko przypisywał Wessel zwlekanie z interwencyą na rzecz Polski — ale być może, iż w grę wchodziły tu także osobiste uczucia. O ile Wessel miał w Dreźnie największe wpływy, o tyle w Paryżu biskup Krasiński zjednał był sobie najwięcej sympatyi, a „ucząc ministra Choiseula“ — jak sam się wyrażał, co i w jaki sposób ma robić w sprawie Polski, — niewątpliwie nie zapomniał i o podskarbim, któremu wszędzie radby był zamknąć drogę do wszelkich negocyacyj. Przypuszczamy, że zabiegom biskupa mógł Wessel zawdzięczać znaczne ochłodzenie stosunków z ministeryum francuskiem. Korespondencya dawniej tak ożywiona, przerwaną została i gdy Lasocki w jednym z późniejszych listów zachęcał podskarbiego do odnowienia tejże korespondencyi, Wessel odpisał mu (12. sierpnia): „Chętnie zwróciłbym się do p. de Choiseul, gdyby nie wstrzymywało mnie milczenie jego wobec kilku moich listów i zapomnienie, w jakiem mnie postawił od chwili, gdy p. Gomuliński go pożegnał. Z odnowieniem mej korespondencyi czekać będę odpowiednich okoliczności, które mi na to pozwolą, bez ujmy dla mego honoru i z zapewnieniem pewnych korzyści.“

Z innych przedmiotów, poruszanych w listach Wessla do Lasockiego, zaznaczyć należy ciągłą, systematyczną krytykę wszelkich działań Generalności, — przytaczał też krążące pogłoski, że Generalność wraz z biskupem Krasińskim przedkładała dworowi wiedeńskiemu prośbę o pośrednictwo w celu uspokojenia kraju, że pragnęła z dworem się pogodzić. W innym znów liście (z 11. lipca), Wessel pisał do Lasockiego:

„Postępowanie Generalności jest bardzo podejrzane. Bezczynność jej nuży naród i odstręcza od konfederacyi. Akta przez nią wydawane przeciw wielkiej liczbie patryotów, wywołują zniechęcenie. Chciwość jej rujnuje osoby prywatne i zanurza kraj cały w odmęt bezładu. Ciągłe spory rozniecają wojnę domową, skutkiem czego jedni drugim wydzierają wzajemnie swoje oddziały i swe łupy. A ciągła odmowa ze strony tejże Generalności co do ogłoszenia bezkrólewia i aktów przeciw stronnikom Rossyi, zdziera — wedle mego zdania — zasłonę okrywającą przed wzrokiem ogółu grę ich, której stać się możemy ofiarami. A to wszystko zda mi się być robotą tych, którzy pragną doprowadzić do pewnego porozumienia z królem. Biskup Krasiński nie opuszcza Generalności, która wszędzie ma agentów, dla popierania swych zamysłów. Nie

jeden z nich zapewne znajduje się przy dworze saskim, którego chcą podejść na równi z nami, jeżeli jakie szczególne okoliczności nie przeszkodzą tym robotom. Zaiste smutne to uwagi. Radbym bardzo, aby nie były potwierdzone przez fakta, na które patrzymy...“

Niejednokrotnie w korespondencyi swej Wessel wspomina o Bierzyńskim. I tak w liście z 27. maja, donosi Lasockiemu, że „Bierzyński dręczony przez wyrzuty sumienia, wzywał Pułaskiego pod Kraków, aby wspólnie wytępić znajdujących się tam Rossyan. Ale gdy zamiar jego został odkryty, Bierzyński wraz z 400 ludzi, których miał z sobą, zakuci w kajdany i w więzieniu osadzeni zostali. Te jednak zamysły Bierzyńskiego są dowodem, że zdrada jego była następstwem rozpaczy, wywołanej przez niesprawiedliwe prześladowanie...“ Niewątpliwie jednak zmyślonemi być musiały owe pogłoski, a cokolwiek później (10. czerwca), Wessel pisze znowu do Lasockiego:

„Jeżeli Bierzyński godzien jest, żeby jeszcze o nim wzmiankować, to donoszę Panu, że nie wiele zarobił, przechodząc na stronę Rossyan, u których pozyskał wzgardę, zanim zostanie ich ofiarą... Otrzymuję wiadomość, że zdrajca ten zrobił recès, w którym wszystkich konfederatów mianuje buntownikami i rozbójnikami. Jednocześnie wydał pismo, w którem powstaje przeciw memu szwagrowi, moim przyjaciołom i przeciw mnie. Przytem pisze o jakichś planach, które ujmę przynoszą dworowi saskiemu i dążą do zdyskredytowania wszystkich mających na celu przywrócenie naszych praw narodowych...“

Liczne z owej epoki pisma i odezwy Generalności, przedstawiają całą jej ówczesną działalność, oraz stanowisko stronnictwa, grupującego się około szefów barskich, Krasińskiego i Potockiego. Obaj, jak wiadomo, przebywali w Turcyi, skazani na bezczynność. Przez czas długi, tylko przez pośrednictwo Lasockiego, dowiadywali się, co się w kraju dzieje, jak idą sprawy związku. Ale Lasocki, jako stronnik Wessla a przeciwnik Generalności, mało się troszczył o interesa szefów barskich, zaniedbywał ich, a popierał tylko u władz tureckich program Wessla. Ztąd Generalność zamierzała go usunąć a zastąpić wielkim posłem od konfederacyi. Zrazu bardzo utrudnioną była komunikacya między Generalnością a szefami barskimi. To też w odezwie z 24.

kwietnia 1770 r., Generalność pisała do Krasińskiego i Potockiego:

„...Między wszystkiemi przykrościami, których w niniejszych Ojczyzny krytycznych okolicznościach, liczba i regestr nieprzebrany, między wszystkiemi trudami i pracami *in ordine*, zatrząśnionej zewsząd Ojczyzny winnego ratunku, ta aż dotąd była najdotkliwszą, że mimo wszystkie usilności, mimo wszystkie w tej mierze wzięte środki, żadnej z JW. Panami znaleźć i otworzyć nie mogliśmy komunikacyi.“ Napróżno też kołatano o pośrednictwo posła francuskiego w Wiedniu. Lasocki, do którego schodziły się pisma, tą drogą posyłane, nie spieszył się z ułatwieniem szefom barskim bliższych komunikacyj z krajem. Słusznie też narzekała Generalność, że „przez czcze i ciemne responsa Lasockiego“, — zaledwie tylko wiedzieć mogli o egzystencyi szefów barskich. „Wydziwić się żadną miarą nie możemy — pisze dalej Generalność — jakie to były przyczyny i które by to były pobudki tego postępku ip. Lasockiego, że tak dawno o nas i dziełach, dostateczną mając wiadomość i wyraźne jej nieodwłocznego JW. Panom komunikowania zlecenie, dotąd je taił i przewlekał...“

Dopiero dokładnych wiadomości z Turcyi dostarczył Ignacy Suchodolski, konsyliarz lubelski, wyprawiony przez szefów barskich z różnymi aktami, a który zarazem „przez ustanowione *hoc fine* kresy“, przygotował sposoby dalszego porozumiewania się. Więc zaraz Generalność przesłała szefom barskim sprawozdanie swych czynności, od chwili ukonstytuowania się swojego (w Białej, 31. października 1769), poczem wyjaśniła przyczyny, dla których obrała miejsce pobytu po za granicami kraju. „Dosięga może JW. Pana odgłos, — czytamy tutaj — że i my sami, najwięcej czasu na pograniczu węgierskiem znajdujemy się, nie wjeżdżając w granice polskie, chyba dla ważniejszych i koniecznych interesów. Nie jest to skutek naszego osobistego zaleknienia się, tyle albowiem co do nas samych, raz tę ofiarę poprzysięgłszy, ochoczo życia nasze sakryfikowaliśmy; szczególny wzgląd czyni nas ostrożnymi, iż gdy uklecenie prawnej wszystkich województw, ziem i prowincyi Generalności, tak dla przeszkód przez exotycznego nieprzyjaciela, wszędzie po kraju zbrojnie rozrzuconego, jako dla wewnętrznych dwóch obywatelów zdrad i intryg, tyle pracy, tyle czasu i tyle krajowi kosztowało milionów, exponować ją zuchwale na niepewny los przemagającego mocą nieprzyjaciela, nie zgadzałoby się z roztropnością. Będąc zaś w jednem miejscu i razem, przez jakiżkolwiek bądź przypadek znie-

sieni lub zabrani, straciłaby Rzplta w jednym momencie to *corpus representaticum,* które układa i ożywia Rzpltą i obywatelów, upoważa nas przed postronnemi przyjaznemi potencyami...“

Wystawiając w dalszym ciągu położenie konfederacyi w kraju, pisze Generalność: „...Gdy więc tym sposobem pod zaszczytem pozwolonego w sąsiedniej granicy bezpieczeństwa spokojności, o krajową spokojność zaradzamy, nie przeszkadza to iżby różne dywizye generalnej konfederacyi wierne i posłuszne, ustawicznie z nieprzyjacielskiem wojskiem nie czyniły meżnie, z różnem szczęściem, jako się w wojnach zdarza, lecz i zysk w różnym czasie odnosząc. Bije się mocno dywizya wielkopolska w złączonych niejako, różnych tychże województw i województw pruskich siłach, pod komendą ip. Malczewskiego, i już o samo przedmieście warszawskie otarła się była, ustąpiła wprawdzie znowu przemagającemu i na nowo upartemu nieprzyjacielowi, nie przestając atoli trzymać pola i przez ustawiczne podjazdy i napadania alarmując i ukracając nieprzyjaciela. Ma swoje korpusy Małopolska, dosyć w różnych i licznych potyczkach z nieprzyjacielem szczęśliwa. Z tych jeden pod komendą JW. Miączyńskiego, marszałka bełzkiego, z którym nadworne JO. książęcia JMci Radziwiłła, wojewody wileńskiego złączeni ludzie, drugi pod komendą JW. Pułaskiego, starosty rerulinieckiego, marszałka łomżyńskiego, prawdziwie i nieoszczędnie, mężnie i walecznie we wszystkich akcyach exponującego się i dystyngującego, za którym *hoc loco* gdy o dawniejszych niejakich dyffidencyach przez wzgląd JWPP. *fato publico* zaszłych, niejaką choć ciemną mamy wiadomość, jako najuroczyściej, całem kołem wstawiamy się i interesujemy się, — ażeby te wszystkie *amore patriae* były umorzonemi i zupełnie zapomnianemi, powtarzamy albowiem to parcyalne świadectwo, że we wszystkich krokach, prawdziwego i cnotliwego obywatela gorliwości dowodząc, szczęśliwie i z dystynkcyą honor oręża narodowego utrzymuje. Jest jeszcze dywizya pod ordynansami JW. Dzierżanowskiego, marszałka gostyńskiego, są inne drobniejsze pod komendami dalszych regimentarzów, pułkowników i rotmistrzów. Prowincya litewska, lubo w istocie żadnego czyniącego nie okazuje korpusu, ustawicznym transmarszem wojsk rossyjskich na Wołoszczyznę ostrożna, wszystkie atoli czyni starania i sekretne przygotowania, iżby za pierwszą okazyą była w stanie ścisłego związku i nieodrodnej dowieść cnoty i wiary. Takowy więc stan rzeczy naszych w kraju, tym szczególnym namieniliśmy końcem, iżby potencyi N. Porty ministrom, w miarę *permissionem*

czynione być by mogły remonstracye, że jesteśmy narodem nietylko przyjacielskim, nietylko auxyliarnym, ale razem wyraźną wojną z Moskwą toczącym. Wysłaliśmy też posłów do dworów cudzoziemskich, *idque* do dworu wersalskiego Jmć p. Wielhorskiego, kuchmistrza litewskiego, cnotą, gorliwością i sposobnością znajomego i doświadczonego. Podobnież męża wielkich zasług JW. Roztworowskiego, starostę żytomierskiego, do dworu drezdeńskiego, którzy i mimo okazałość przyjętego lub nie charakteru, interesa konfederacyi popierać i reprezentować mają w zleceniu. Nieominęlibyśmy wiedeńskiego i berlińskiego dworów, gdyby też w niniejszych okolicznościach *strictam* postanowiwszy *neutralitatem*, dozwoliły nam były hazardować posłanie *ad compromissionem authoritatis Reipublicae*. W instrukcyach przyjaznym dworom danych, zalecone są punkta, nietylko z konfederacyą barską zgodne, ale owszem z obligacyą, iżby pomocy tak skutecznie dodane były, jakoby ściśle wejrzeć i ukarać bez dystynkcyi stanów *autores scelerum*. W tychże instrukcyach również jako w instrukcyi JW. Lasockiego, któremu Generalnej konfederacyi rezydenta w Stambule charakter przesłaliśmy, zalecono jest najwyraźniejszym sposobem, iżby wszystkie te dwory upewnić, że Generalność nasza nie jest inna, jako tylko na fundamencie podniesionej przez JWPana w Barze konfederacyi, że prowincye koronne nie mają i nie uznają nigdy szefów, jak tylko JWPana generalnym marszałkiem jednego, regimentarzem drugiego; przez ścisły swój związek z generalną konfederacyą litewską pod JW. starostą ziołowskim, *ad praesens in absentia* wszystkim prowincyom przodującym; że cele tej to krajowej konfederacyi nie są inne tylko te same, które JWPana są własne. Ztąd nieodbita wynika potrzeba, ażebyście JWPanowie nieodwłocznie przez najpewniejszą okazyę nam komunikowali, coście *in ordine* przyspieszenia *salucis publicae* traktowali i postanowili, tak, iżby autentyczną rzeczy pewnością przeświadczeni, co jest ojczyźnie i celom naszym zbawiennego, *conformiter* z strony naszej ustanawiali, potwierdzali i publikowali: to co może *crisis fatorum* i przykra nieuchronnych okoliczności potrzeba gwałtem wycisnęła, wreszcie zapobiegając przyzwoite do podźwignienia wynajdowali środki. Punkt ten zdaje się być nader jasny, iżby jeszcze potrzebował tłomaczenia, że się względem zupełności granic krajowych, względem fortecy kamienieckiej i względem narodowego jassyru chcemy informować i oświecić...“

Pominąwszy inne punkta missywy Generalności, zaznaczyć należy przebijającą się troskę i obawę ciągłych zdrad i podstę-

pów. Walka stronnictw wrzała na całej linii, powodując nawet w łonie samejże Generalności wzajemną miedzy członkami nieufność, — nie mówiąc już o wielkiej liczbie tych wszystkich, którzy stojąc po za plecyma Generalności, bezustanną z nią toczyli walkę, pragnąc ją obalić, aby samym módz zająć owe zwierzchnicze niby w narodzie stanowisko. To też z widocznem przygnębieniem Generalność pisze do szefów barskich o takowem położeniu rzeczy, wzmiankując zarazem o głośnej sprawie Bierzyńskiego: „Niżeli list ten skończyć przyjdzie — czytamy tu — dla partykularnej JWPana informacyi, równie jako dla okazania czynności naszych, tę jeszcze mu przyłączamy wiadomość, że nie zbywa i nam na zdrajcach sekretnych i skrytych, większa jest liczba ich, niżeli w regestrach zawrzeć się mogła, tak dalece, że nie zbywa na przestrogach, iż i w samem kole, z którego dziś piszemy, skryci znajdują się *praeditores*. Czas ich odkryje, i zbliży tem cięższą im dłużej przewleczoną karę, równie jako p. Bierzyńskiemu... który z najniegodziwszych pobudek, okrutną gotując zdradę, zbliżał wielu cnotliwym obywatelom nieszczęście i zgubę. Dał Bóg tę knutę z dworem i książęciem Wołkońskim, posłem moskiewskim, dość wcześnie odkryć zdradę, i przez JW. Dzierżanowskiego wzięty winowajca, z kajdan przed dniem zasłużonej egzekucyi, przez podobnych łotrów znalazł sposób ucieczki. Co przedsięweźmie dalej, donieść nie zaniedbamy, dosyć w tem licząc zysku, że odkryte planty jego, dają nam czas przestrzeżenia narodu, niszczą i zmniejszają kredyt jego, pozorem fałszywej gorliwości nabyty."

Wreszcie wspomina tu Generalność, że postanowiła wysłać wielkim posłem do Porty księcia Radziwiłła, wojewodę wileńskiego, a jako „ministra plenipotencyalnego" Joachima Czernego, chorążego zatorskiego, marszałka krakowskiego. Dla tego też starać się należy o ferman i uproszczenie wszelkich trudności. W sprawie tej kilkakrotnie zgłaszała się Generalność nie tylko do szefów barskich, ale do wszystkich przedstawicieli konfederacyi za granicą, szukając poparcia, szczególniej u dworu wersalskiego. Wprawdzie Lasocki wyraźnie pisał, iż Porta odmawia fermanu, ale gdy Generalność w ogóle nie ufała Lasockiemu, jako popierającemu wyłącznie politykę Wessla, przeto tylko na szefów barskich liczyła, że wyrobią potrzebne pozwolenie Porty i przyznanie Radziwiłłowi „charakteru wielkiego posła przy zwyczajnych w takich okolicznościach prerogatywach." Wielhorski w tej sprawie usilnych dokładał starań w Paryżu, odnośne missywy

szły do posła francuskiego w Stambule, ale Porta, mimo półoficyalnych obietnic, uznać nie chciała posła stanów Generalnych, co najwięcej zezwalała na poselstwo do wielkiego wezyra. W sierpniu sygnalizowano Generalności ze Stambułu, że potrzebny do poselstwa Radziwiłła „instrument“ jest gotów. Mimo zastrzeżeń Porty, Generalność przystawała na warunki wymagane, ale brak funduszów stał na przeszkodzie wyjazdowi posłów, o czem też później donosiła Generalność szefom barskim (16. sierpnia) pisze:

„Cała trudność, nieznośne ztąd nasze umartwienie, defekt kassy naszej na potrzebne *exinde* i nieodbite expensa. Sekwestrowane albowiem przez Moskwę wszystkie dobra jednego (Radziwiłła) zniszczone i zrujnowane drugiego (Czernego), kassa nasza w dochodach swoich nadto szczupła, tak przez nieprzyjaciela exotycznego jako i wnętrzny porządek rozerwana, ustawicznym nieodbitym expensom wystawiona, — wchodzi to wszystko w przyczyny *ex utraque parte impossibili*. Wzięliśmy wszystkie środki i nie opuszczamy nic cokolwiek by mogło ten tak nader potrzebny przyśpieszyć wyjazd i tak tenże książę JMć wojewoda wileński, jako wszyscy w powszechności, ofiarujemy substancye nasze i zapisujemy chętnie one *in evictionem*, byleby kto chciał pożyczyć sum potrzebnych, które jak prędko zebrane będą i potrzebny przez Węgry do przyjazdu paszport z Wiednia wyjednanym, tak *ipso facto* nieodwłocznie nastąpi przyspieszenie podróży tak żądanej.“ Później atoli Radziwiłł odmówił podjęcia się tego poselstwa, mimo ponawianych kilkakrotnie wezwań Generalności. Może zastrzeżenia Porty zniechęciły wojewodę, może uważał za ubliżenie dla swej godności, — sprawowanie poselstwa tylko do wezyra, dość że z czasem sam Czerny wyjechał do Turcyi, ale miało to miejsce dopiero latem 1771 roku.

Ów niedostatek pieniedzy, o którym pisała Generalność z racyi projektowanego poselstwa Radziwiłła, jeszcze dotkliwiej czuć się dawał w sprawach wojennych, o czem już poprzednio pisaliśmy. Teraz Generalność pisała do Roztworowskiego, posła konfederacyi w Dreźnie (30. kwietnia): „Żołnierz niepłatny odmawia być posłusznym, podatki rozszarpane i wybrane, nadziei nawet nie zostawują kassie. Sami radę tę składający, w dobrach swoich *ac consequenter* w potrzebach subsystencyi wyniszczeni, posiłki zaś tak dawno przyrzeczone, dotąd próżno oczekiwane, słusznem prawem wątpić nam każą, że nie muszą być skutkiem wcale już wziętych i determinowanych intencyi.“ W późniejszem znów piśmie Generalności (30. czerwca) do Józefa Miączyńskiego i Ta-

deusza Przyłuskiego, bełzkiego i czernichowskiego marszałków, którzy zapewne upominali się o forszusy na wojsko. — czytamy dane objaśnienie w sprawie funduszów, następującej treści: „...wszystkie przykrości, trudność, szkodę, stratę i podobne z niepłatności żołnierza wynikające inkonwenyencye, znamy równie i czujemy, ale nie jest to ,w ludzkich rękach niepodobne przemieniać rzeczy i uczynić to, co naszą przenosi możność. Póki jakiskolwiek w kassie ciągnął się zapas, nie przeczyliśmy nigdy dzielić go na te potrzeby, które nam były powszechne i wspólnie użytecznemi. Protestowaliśmy w pierwszym liście, że grosza jednego na prywatną nas marszalków i konsyliarzów, w szczególności, nie obrócilismy potrzebę. Protestujemy z tąż samą otwartością, *ad praesens* przydając jeszcze upewnienie, że wszystkie które tylko być mogą starania do zaciągnienia z kądkolwiekbądź na imię Generalności, bądź na kogożkolwiek z nas prywatnych nieomieszkiwamy. JMć ksiądz biskup kamieniecki równe z swojej strony podobnież czyni zaciągnienia długu starania, nie jesteśmy bez nadziei, a czekamy *et aliunde* sukursu, nie tylko codzień ale co minuta, i skoro tylko z kądkolwiek wejdą pieniądze, te przesłać do obozów nieomieszkamy. W teraźniejszym zaś czasie, upewnił nas JW. Łomżyński (Kazimierz Pułaski), że znając stan kasy generalnej, przez własny kredyt komendę swoją utrzymywać w zupełności i powinności będzie starał się. Ten chwalebny przykład równie JW. Panom niechaj służy, ażebyście utrzymali ludzi ile można, upewniając o niezawodnem *etiam* zaległych w czasie swoim wypłaceniu...“

Nic też dziwnego, że wobec piętrzących się co chwila trudności, Generalność nie przeceniała sił swoich, uważając prowadzoną walkę jako środek przeciągnięcia tylko zbrojnego oporu, do chwili spodziewanej interwencyi dworów. W tym też duchu pisała (26. kwietnia) do Wielhorskiego: „...Zawieszone akcye nasze, muszą być koniecznie teraz słabe i tylko dla wskazywania jakowejś egzystencyi ciągną się, albowiem nic dzielnie, nic skutecznie przedsięwziąć nie możemy, raz, że dostatecznych *hoc fine* brakuje nam środków, drugie, że sprawiedliwie ostrożnymi być chcemy, iżby niewczesnym krokiem lub goretszem jakiem przedsięwzięciem, nie chybić miar i przepisów, na ktore nam od dworu wersalskiego doczekiwać zlecono...“

Nadmieniona tu ostrożność co do „niewczesnych lub goretszych przedsięwzięć“, odnosiła się do drażliwej kwestyi ogłoszenia bezkrólewia w Polsce. Myśl odsądzenia Stanisława Augusta

od tronu, poruszaną już była od samych początków konfederacyi. atoli odkładano dopełnienie tego projektu do czasu wzmocnienia sił konfederacyi a przedewszystkiem do czasu uregulowania sprawy tej w porozumieniu z dworami przyjaznymi. Jak widzieliśmy, Wessel z całem swem stronnictwem pragnął już dawno owego bezkrólewia i agitował za niem, obiecując powołać dom saski do objęcia tronu polskiego. Generalność przecież długo się broniła i nie dopuszczała do przedsięwzięcia, które mogło być źle widziane u dworów, wyczekiwała szczególniej na decyzyę Francyi. Tymczasem szefowie barscy, przebywający w Turcyi, już w kwietniu 1770 roku spisali manifest, ogłaszający bezkrólewie. Bliższych okoliczności, towarzyszących wydaniu tego aktu, zupełnie nie znamy, tyle tylko wiemy, że Suchodolski, wysłany z Turcyi w kwietniu 1770 r. przywiózł ów manifest do Generalności, z żądaniem, aby był solennie po kraju ogłoszony. Generalność znalazła się w kłopocie, — postanowiła też odłożyć publikacyę tego aktu, z czego tłómaczyła się w następującem piśmie do szefów barskich, pod datą 11. czerwca:

„...My, którzy w wyraźną z dworem francuzkim weszliśmy determinacyą, nic z ważniejszych materyi bez zniesienia się z niemi nie możemy stanowić, a przez posła naszego jesteśmy obligowani nie ogłaszać bezkrólewia, póki Francya z nami względem kandydata i z sąsiedzkiemi potencyami względem środków do tak ważnego celu dążących, nie ułatwi się i nie umówi. Nie mogliśmy inaczej, tylko przyjąwszy przysłane Ich uniwersały z poważaniem, publikacyą ich do niejakiego czasu wstrzymać. *Accedit* jeszcze, iż *immediate* przed ich odesłaniem, byliśmy uszczęśliwieni przytomnością w tych tu stronach naszych Najjaśn. Cesarza JMci rzymskiego, nie możemy go dosyć wielbić ze wszelkich ludzkości Jego nam świadczonych: pozwolone są JW. marszałkowi generalnemu explikacye *gravaminum* rządu dzisiejszego et *crisum* stanu naszego, lecz rezolucye, które i sam do widzenia się z panującą matką zawiesił, tak były ostrożne, iż chełpić się żadną miarą nie możemy, że doszliśmy celów i intencyi tego najsławniejszego i najpierwszego z monarchów. Po tej więc bytności i ledwo oddaleniu się Jego, pośpieszyć krok, wedle wszelkiej polityki slizki, byłoby to *compromittere* powagę Majestatu, dać przyczynę powszechnej opinii, jakoby z cesarskiego instynktu i stać się — uchowaj Boże, słusznego ztąd ressentymentu ofiarą. Przepraszamy a zatem że to tak chwalebne i tak wspaniałe dzieło

wstrzymujemy do tego czasu, w którym uderzenie pierwej będzie uczutem, niżli przejrzanem...“

W instrukcyi zaś spisanej dla Suchodolskiego, powracającego do Turcyi, polecili delegatowi upewnić szefów barskich, iż „przysłane *publicationis interregni* uniwersały, są prawdziwie zgodne z powszechnym celem naszym...“, ale w oczekiwaniu na rezolucye dworu francuskiego, do czasu zatrzymują ich ogłoszenie. W tejże sprawie pisała jeszcze Generalność do Michała Wielhorskiego do Paryża (20. czerwca): „...Jakie JWW. Barscy nakoniec wzięli determinacye, które to były przyczyny, dla których wstrzymaliśmy publikacyą tych rezolucyi, z przyłączonej responsu naszego kopii najdostateczniej wyczytać i widzieć będzie można, zachowując dyskrecyą tej wiadomości, ani komunikując komużkolwiek. Rozgłoszenie bowiem *in publicum* dałoby broń w ręce źle intencyonowanym i zażyliby tej okoliczności na oczernieniu naszej Generalności, iż z Barskiemi nie jesteśmy jednomyślni: że to, co według ich jest najessencyonalniejszem, gwałtownie utrzymujemy, — nie przenikając celów naszych, że taż sama w nas i równie gorliwa chęć była, jest i będzie, że pragniemy dopełnić jako najprędzej, ale ze wszelką ostrożnością i jakąkolwiekbądź nadzieją...“

Latem 1770 roku, przybył do Wiednia nowy przedstawiciel dworu wersalskiego Durand. Przyjazd jego poprzedziły wieści, że ważne niezmiernie wiezie polecenia swojego rządu co do spraw polskich, również dużo otuchy dodała wiadomość, że przyjeżdża wysłany przez Choiseul'a, francuski pułkownik Dumouriez, mający zająć się lepszą organizacyą sił wojskowych konfederacyi, a z nim wielu innych oficerów, oraz że odtąd stały zasiłek pieniężny dostarczany będzie konfederacyi.

Generalność w piśmie z 19. lipca, do Pułaskiego i innych marszałków pisała:

„Z Paryża stanął kuryer z wiadomością, że pułkownik francuzki, jadący do nas, ma wszystkie gabinetu powierzone sobie sekreta i że *directe*, nie referując się do żadnych *collateraliter* osób, *cum Generalitate* traktować i ustanawiać będzie. Tymczasem dla wzięcia jakiegokolwiek we dworze wiedeńskim oświecenia, jeszcze na jakiś czas pozostał przy Imci panu Durandzie umyślnie na to zesłanym.“ W chwili zaś przyjazdu Dumouriez'a do Preszowa (27. lipca), Generalność wysłała missywę do Wielhorskiego

do Paryża, a uważając ów przyjazd oficerów francuskich, jako wielki tryumf zabiegów, czynionych u dworu wersalskiego, wyrażała posłowi swemu wdzięczność. Czytamy tu bowiem:

„Oczekiwany z taką niecierpliwością, zbliżył się moment, w którym zaczniemy przynajmniej jaśniej niejako czytać w naszych przeznaczeniach, którekolwiek publicznej szczęśliwości wynikną ztąd skutki. Pierwsze *exinde* obligacye JW. Panu winnemi będą, który staraniem niespracowanem, rzadką przezornością, dostateczną naszego i ojczyzny stanu reprezentacyą, węgielny rzeczom położywszy kamień, obfite do przyszłej budowli przysposobiłeś materyały, wprawdzie gdy aż dotąd o samej tylko mówimy nadziei, ani w niniejszym liście rozszerzać się będziemy z dostateczniejszą projektów explikacyą, gdy Jmć pan pułkownik Dumouriez dziś w nocy stanął, jeszcze i nic nie rozpoczął, coby albo względem posiłków pochlebiać, albo względem intencyi dociekać można. Gdy atoli światłem roztropności wnosić potrzeba, że ten kawaler próżno i bez projektu wysłanym być nie może, cokolwiek w dalszym negocyacyi ciągu będzie pezedsięwziętem, JW. Panu otwarcie będzie komunikowanem.“

Chcąc zaś mieć stałego w Wiedniu rezydenta, któryby interesów polskich pilnował przy dworze tamtejszym, a zarazem mógł potrzebne prowadzić negocyacye z posłem francuskim, Generalność przeznaczała na to stanowisko generała Zboińskiego, starostę kowalskiego, do którego wystosowała (10. lipca) list następujący:

„Pragniemy i spodziewamy się, iż list ten szczęśliwszem niżeli pierwszy przeznaczeniem, prędzej dojdzie rąk W. Pana, a przez konsekwencyą, że respons Jego wcześniej upewni nas o żądanej rezolucyi i determinacyi.

„Sentymentów rzadkich gorliwości, a nad powszechne wyższych przymiotów Wm. Pana, rozmyślnie zamilczymy opisanie, gdy sam sobie w szczególności i Ojczyźnie w powszechności nader znajomym jesteś, iżby potrzeba przez podobne expressye pobudzać intencye albo determinować chęci. Od samej zaczynamy istoty rzeczy, która z natury swojej da poznać ważność okoliczności i ztąd nieodbitą determinowanej na żądanie nasze rezolucyi potrzebę.

„Poświęceni na świętą swobód naszych obronę, ciągnęliśmy w nieustannem staraniu to przykre jarzmo, nic nie omieszkując, cokolwiek tylko do powszechnego uszczęśliwienia mogło *contribuere*. Zawarte wszędzie prawie wrota znaleźliśmy, zkądkolwiek tylko jakiejśkolwiek pomocy mieć mogliśmy nadzieję, stałość, determi-

nacya, chętna nietylko majątków ale i życia ofiara, trwale głoszona rezolucya, że nie pierwej podniesiony złożymy oręż, aż wydarte Ojczyźnie przywróconemi będą zaszczyty; że same groby nasze budujący następcom czyniąc przykład, nie zaspokoją cudzą ambicyę nieszczęśliwego zawsze, atoli o całość swoją troskliwego narodu. Ta więc stałość determinowała nakoniec niektóre dwory nie tylko do otwartego za nami interesowania się, ale i do wykonania najskuteczniejszych nieodwłocznego posiłkowania środków. Tak Porta, która dotąd Barskich naszych pod szczególnem tułaczów i schronienia szukających imieniem cierpiała i znosiła, teraz już z temiż, jako z istotnymi sprzymierzonej Rzpltej szefami, traktować nie wzbrania się. Mamy tego w ostatnich, sub prima Junii z Warny pisanych listach, jawne świadectwo. Ofiaruje sukurs i szczególnie czeka na determinacyą liczby, sposobów i kondycyi — jakokolwiek sukurs takowy nieodbicie potrzebnym zda się, — zataić atoli tego nie możemy, że dotyka serca nasze, lękają nas okropnie, uchowaj Boże, z takiej pomocy wyniknąć mogące pożytki. Pamiętamy te obowiązki, iż nas nie tak zemsta, jako raczej szczególny Ojczyzny ratunek wzbudzać i prowadzić powinien; strachamy się zuchwałego lekarstwa, pilnie go z niebezpieczeństwem choroby ważąc; przeto obraliśmy raczej niejaką w przewłoce czasu szkodę, niżeli porywczo śmiały i zuchwały krok czyniąc, kiedyżkolwiek żałować uczynionego. Obróciliśmy więc wszystkie starania do dworu wersalskiego, a przez pracowite i przezorne JW. IMC. Pana kuchmistrza litewskiego u tamtego dworu reprezentacye, staraliśmy się za najpierwszy cel wciągnąć dworu wersalskiego skuteczniejszą asystencyą. Zdajemy się być bliżej oczekiwania, kiedy po wielokrotnych *pro* i *contra* remonstracyach i rezolucyach, nakoniec dwór tenże otwarcie posiłkowania nas biorąc determinacyę, dla tem łatwiejszego *in deccurentibus* traktowania wysyła do nas Monsieur de Demouriez, razem wysłał do Wiednia Mr. de Durand, polskich okoliczności i samemu JWm. Panu dobrze znajomego, wyraźny wkładając na nas obowiązek, iżbyśmy ze strony też naszej wysłali osobę charakteryzowaną, a w znajomości narodowych okoliczności zaleconą.

„Przenikasz JWm. Pan łatwo, jak siła na tej zależy negocyacyi i że od niej szczególnie przyszłe kraju naszego zawisły losy. Widzisz łatwo, jeżeli komużkolwiek z wyższą ufnością podobnego powierzyć możemy zlecenia. Jeżeli nie ten ostatni jest krok, który ślizgo postawiony, ostatecznym bez nadziei powstania grozić może upadkiem, — jakiej interesów nie potrzeba znajo-

mości, jak gruntownej *status* Rzpltej praktyki, jakiej na ostatek delikatności w traktowaniu i kombinowaniu polskich, saskich, francuzkich, tureckich i austryackich interesów. Przeświadczeni jesteśmy, że gdy o tak gwałtownej mówimy potrzebie, że gdy o tak trudnej piszemy negocyacyi, czujesz JWm. Pan w sobie samym nieodbitą sukursu potrzebę i już wcześnie niejako domyślasz się, że w tych kolorach taimy osobę Jego, zaklinając Go najsolenniej, *amore patriae,* ażebyś wszystkie względy, trudności i przeszkody wspaniale na stronę odłożywszy, na to miejsce, gdzie największa nalega potrzeba, skuteczną swoją niósł pomoc. Pochlebialiśmy my jeszcze za bytności tu w Preszowie, Najjaśniejszego cesarza, pewne dworu wiedeńskiego wsparcia i pomocy, albowiem ten monarcha nie tylko wszystkich nas chciał mieć sobie na kompaniach prezentowanymi, ale prywatną przytomnym senatorom, acz krótką, a JW. marszałkowi generalnemu dwugodzinnej nie odmówił audyencyi, na której czyli *respectu status* czyli *respectu gravaminum* nic nie opuścił, aby nie informował kwestyi i w czemby jak najdokładniejszej nie potrzebował explikacyi, dowodząc przez gatunek pytania, że ze strony nieprzyjaciół naszych dostatecznie już był informowanym, i ze strony naszej równie skarg i zażalenia naszego jawne (miał) dowody.

„Czas zdaje się teraz odkrywać tajemnice, że to nie przypadkowej ciekawości, ale ułożonego już planu było skutkiem. Zaklinamy więc powtóre JWM. Pana tymże winnym Ojczyźnie miłości obowiązkiem, ażebyś jak najprędzej do drogi Wiedeńskiej uczyniwszy przygotowania, a niniejsze w najściślejszym sekrecie strzegąc doniesienie, i którykolwiek wojażu swego wziąwszy pretekst, jak najprędzej spieszył tu do nas, dla wzięcia ostatnich rezolucyi, uprzedzając zaś żądane przybycie swoje w dniu ruszenia się, przez umyślną *eo fine* sztafetę nieodwłocznie nas upewnił i uwiadomił. A ponieważ w nacisku praw *inde* wynikających, wiernej ręki i znajomego charakteru potrzebna pomoc, ponieważ nie zawsze i nie wszystkie okoliczności piórem traktowane być mogą i wyniknąć może potrzeba osobistego z Wiednia do nas *cum expositionibus* przesyłania. Ponieważ w czasie swoim sekretarza *legationis* będzie potrzeba, przeto ażebyś JWm. Pan w trakcie podróży swojej, WIme Pana Wybickiego z sobą zabrać i razem w tę podróż *assotiare* raczył, najusilniej obligujemy...“

Kazimierz Pułaski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.